№ 17 Warszawa, dnia 11 (23) Kwietnia roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Co czytać i jak czytać?

„Czas to pieniądz" mówią Anglicy, teraz możnaby także powiedzieć „czas to życie". Życie jest bowiem tak krótkie w obec tego cobyśmy chcieli posiąść w dziedzinie wiedzy, że z czasem naszym powinnibyśmy się niezmiernie rachować. Co się to jednak czasu marnuje, co godzin przechodzi z których ani my, ani nikt korzyści nie odnosi? Niepodobieństwem jest jednak uniknąć tych godzin bezużytecznych; okoliczności, obowiązki towarzyskie lub inne, krępują nas, zmuszają do trwonienia drogiego czasu, zresztą i umysł nasz potrzebuje kiedy niekiedy zupełnej swobody, odpoczynku, wniknięcia w samego siebie a wtenczas to nawet korzystnemi się stają bezczynne godziny.

Ale chciałabym tu pomówić o rozlicznych godzinach poświęconych czytaniu, godzinach mogących przynieść wiele korzyści lub wiele szkody a często bardzo będących tylko marnotrawieniem czasu.

Tak jest, marnotrawieniem, gdy kto czyta bez wyboru, lub bez stałego zamiaru wyniesienia jakiej korzyści z przeczytanej książki.

Każda książka i zła nawet, korzyść przynieść może lecz nie każdemu. Trzeba na to umysłu dojrzałego i rozważnego któryby z zestawienia pojęć, z porównywania stosunków, był w stanie krytycznie książkę ocenić i odróżnić w niej złe i dobre strony. Ale dla młodych umysłów jest to za trudne zadanie, a ich to właśnie mam na celu w dzisiejszych moich uwagach.

Pensye nasze po większej części niedostateczne dają wykształcenie, wychowanie domowe rzadko kiedy systematycznie jest prowadzone, wiele zatem bardzo młodych osób czując braki umysłowe, niezaspokojone potrzeby wiedzy, rzucają się na książki w celu kształcenia się i dokształcania. Nie kierując się żadnemi wskazówkami, nie mając z góry wytkniętego celu do któregoby dążyły, nie zdając sobie sprawy jakie wiadomości pragnęłyby posiąść, czytają bez wyboru wszystko co się im pod rękę nawinie.

Może mi kto powie, że taka ciekawość do wszystkich gałęzi wiedzy jest bardzo chwalebną, że kobiety powinny posiadać wiadomości encyklopedyczne, ponieważ mało która specyalnie oddać się może jakiejś nauce, ależ zastanówmy się, czy przy obecnym stanie wiedzy ludzkiej możebna jest rzecz posiadać wiadomości encyklopedyczne a tem samem zadowolnić swoją ciekawość we wszystkich gałęziach nauki.

Każdy sumienny czytelnik przyzna wraz ze mną, że to jest rzecz niemożebna. A więc na co czas trwonić na chwytanie wiadomostek które przy swej ilości zacierać muszą jedne drugiemi i nie dozwalają zgłębić żadnego przedmiotu, zrozumieć go gruntownie a tem samem przyswoić go sobie? Pierwsze jest niezbędnym warunkiem drugiego. Czy nie lepiejby było wybrać sobie jedną gałęź nauki, będącej najbardziej odpowiednią naszemu usposobieniu lub naszym zdolnościom.

I tak np. panna Z. lubi historyą, czyta więc książki do niej się odnoszące a czyż potrzebuję cytować wszystkie dzieła, któremiby umysł swój zbogaciła, zacząwszy na początek od lżejszych szkiców, monografii, dalej czytając z prawdziwem zamiłowaniem (bo to coraz bardziej rozwijać się będzie) Szujskiego, Koronowicza, Bobrzyńskiego, Thiersa, Macaulay'a, Schlossera. Co za nieocenione skutki z takiego systematycznego czytania, jak te dzieje ludzkości jasnoby się w myśli jej rysowały, jakby pojmowała całą doniosłość wypadków, wpływ ich na teraźniejszość, jak wreszcie własne jej zdanie o nich wyrabiałoby się, stałaby się zdolną krytycznie każde dzieło czytać nie przechylając się jak chorągiewka do każdego nowego poglądu na przebieg dziejów tak naszych, jak ludzkości całej.

Dalej panna X zamiłowana jest w literaturze, tu także bogate żniwo się przedstawia, przystępniejsze, wdzięczniejsze od pierwszego i ztąd więcej żniwiarek pociągnąć może.

Wszystkie się zachwycamy Konradem Wallenrodem, Dziadami, Przedświtem, Psalmami, Lilą Wenedą i tylu innemi rzeczami a jak mało która wie na czem polega piękność tych utworów. Uczymy się, słyszymy, czytamy o nieśmiertelnej Boskiej Komedyi, tragedyach Szekspira, o Schillerze, Göthem i t. p., a ledwie mała część, ba, może nawet malutka czytała sama przez się te arcydzieła lub przynajmniej studya nad niemi. A jednak gdyby je bliżej poznać chciała, gdyby na nich wyrobiła sąd swój i zdanie o utworach belletrystycznych, o ileżby one gruntowniejsze były, jakby się jej pojęcia o pięknie, o władzach duchowych rozwinęły.

Panna Y znowu, idąc za prądem czasu, cała jest pod urokiem nauk przyrodzonych, mało ją obchodzi co było, co duch ludzki wytworzył, potęga nauki rozumowanej, pozytywnej, czaruje ją, i przed nią też stoi kopalnia wiedzy niewyczerpana. Niech jednak wstępuje do niej przygotowana gruntownie, ze światłem wiary, bo to labirynt ciemny w którym zabłądzić łatwo można, przewodnikiem w nim jest rozum ludzki, a ten, wiemy jak często z prawdziwej drogi zbacza. Bez przygotowania, że tak powiem elementarnego z fizyki, chemii, źoologii i t. p. gałęziach nauk przyrodzonych, nie można się brać do dzieł poważnie je traktujących, a kiedy one stały się już nam przystępne, zapoznawajmy się wtenczas dopiero z ich przedstawicielami. Ale starajmy się poznać nietylko tych którzy materyę wszechwładną panią i twórczynią mianują, lecz i tych którzy w układzie wszechświata duchowy pierwiastek widzą; zastęp ich jest tak

że nader liczny i sami ich przeciwnicy głębokiej nauki odmówić im nie mogą. Czytać więc trzeba koniecznie jednych i drugich, aby poznać wywody jakiemi ci zbijają tamtych i przekonać się, że wiara z nauką dobrze pojętą idą w parze, wiara naukę podtrzymuje, nauka wiarę poświadcza. Dla osób zamiłowanych w sztuce, oddających się jakiemu talentowi, pozostaje cały dział estetyki i sztuk pięknych, dział niemniej bogaty lecz dla wybranych tylko dostępny.

Pozostają nam jeszcze nauki i kwestye społeczne; te mają wiele zwolenniczek ale tak są znane pobieżnie, że wiele korzyści przynieść nie mogą. Do nich także można by już zaliczyć kwestyę „Emancypacyi kobiet” przedstawiającą pole do studyów i zasługującą na gruntowniejsze poznanie. Śledząc stopniowe zmiany w życiu i charakterze kobiet obcych narodowości, możemy najlepiej osądzić, czy nam podobne byłyby potrzebne a badając przewroty zaszłe w społeczeństwie, udowodnić konieczność reformy w wychowaniu kobiet.

Ale powiecie mi może: „to wszystko bardzo dobre, lecz przy głębszej znajomości historyi, ja muszę, chcę znać literaturę, nauki przyrodzone, estetykę i t. p.” Bezwątpienia, trzeba koniecznie, lecz studyując jedną gałęź wiedzy, nic nam nie przeszkadza znać inne pobieżnie tak jak dotąd wszystkie się znało. Osobom obdarzonym bystrzejszem pojęciem a zwłaszcza mogącym rozporządzać swoim czasem, nic nie przeszkadza zapoznawać się z dziełami innej treści, lecz już uznanemi za znakomite, podczas gdy te, co ani chwilki na zmarnowanie nie mają, a chciałyby wiedzieć co się w świecie dzieje, najkorzystniej posiłkować się mogą pismami peryodycznemi.

Te pisma peryodyczne, na które tyle osób narzeka że czas pochłaniają, mogą i powinny być użyteczne, tylko trzeba umieć z nich korzystać. One obznajmiają nas z ruchem społecznym, są łącznikiem myśli ludzkiej i przewodnikiem w tylu zacnych projektach i postanowieniach. Obchodzą one ogół a więc i nas kobiety, które w tym ogóle odgrywamy rolę inną niż mężczyzni, lecz niemniej ważną.

Czytajmy zatem pisma peryodyczne i bierzmy udział w tem co całe nasze społeczeństwo interesuje.

Dotychczas nie wspomniałam nic o powieści a jednak ona tak ważne miejsce zajmuje w naszem czytaniu. Dlatego też zostawiłam ją na sam koniec, bo czy historyą zajmiemy się w społeczeństwie, czy estetyką, filozofią czy też literaturą, naukami przyrodniczemi i t. p., zawsze ona będzie upragnionym gościem i znajdzie się chwilka która się jej z chęcią poświęci.

Powieść dobra ma daleko głębsze znaczenie niż to niejednemu się zdaje, a to z przyczyny, że jest bardzo wiele złych powieści i wśród tej plewy zdrowe ziarna giną. Mówiąc o złych powieściach, nie mam na myśli niemoralnych, takich dzięki Bogu mamy niewiele, a jeżeli są, to tłomaczone; lecz te, którym głębszej treści brakuje, celu wyraźnego, szlachetnej tendencyi; na czytanie takich powieści to prawdziwie szkoda czasu. Powieść dobra budzi w nas szlachetne uczucia, ułatwia nam poznanie różnorodnych charakterów, porusza wszelkie zagadnienia życia z dziedziny psychologii i stosunków społecznych, daje nam obrazy z życia sfer nam nieznanych a które jednak powinny nas obchodzić, bo tworzą ogniwo tego niezmiernego łańcucha, ludzkością nazwanego, do którego i my należymy; wreszcie pociąga nas swoim uczuciowym pierwiastkiem, dziejamy serc kochających się i walczących o byt i szczęście. Z tego stanowiska na powieść się zapatrując, przyniesie nam ona prawdziwy pożytek, lecz jeżeli w niej tylko szukamy zaspokojenia ciekawości, intrygi romansowej, wrażeń uczuciowych, wtenczas będzie ona nietylko stratą czasu, ale nawet szkodliwą, bo rozdrażniając nerwy, zaogniając wyobraźnię, odrywać nas będzie od rzeczywistych warunków życia a umysł nasz chętniej będzie szukać pokarmu w tej lekkiej, łechcącej literaturze aniżeli w korzystniejszej lecz cięższej nauce.

Ale niedość jest wybrać dobrą książkę i przeczytać ją od deski do deski, trzeba ją jeszcze zrozumieć i zapamiętać, inaczej będzie to znowu czas stracony. Aby zrozumieć, koniecznym jest warunkiem odczytać po parę razy ustępy mniej zrozumiałe a jeżeli i to nie pomoże, trzeba mieć cywilną odwagę prosić kogoś z otaczających o objaśnienia lub udać się po nie do nieocenionej towarzyszki człowieka pragnącego wiedzy, do Encyklopedyi. Gdyby jej pod ręką nie było, radziłabym bardzo zapisywać sobie fakta lub przedmioty w których się pragnie objaśnienia, aby je przy danej sposobności otrzymać. Następnie nietylko po przeczytaniu całego dzieła ale codzień po zamknięciu książki zastanowić się o czem się czytało i streścić to w słowach jak gdyby się miało słuchacza. Jedna książka tak sumiennie i wytrwale przeczytana więcej korzyści przyniesie aniżeli dziesięć tomów różnorodnej treści przerzuconych tylko.

Namawiałabym nawet do skreślenia na papierze kilku uwag o każdej przeczytanej książce. Postępując tak przez parę lat, prawdziwie zajmującem będzie porównać zdania jakie się miało dawniej a teraz i przebiedz myślą wszystko co się czytało. Jest to wyborne ćwiczenie dla umysłu; z początku ma się trochę trudności lecz potem łatwo to przychodzi. Przedewszystkiem uwagi takie powinny być treściwe, podwójna byłaby ztąd korzyść, nie wieleby czasu ta praca zabierała i wdrażałaby w zwięzłość stylu, co jest wielką a rzadką zaletą, zwłaszcza u kobiet. Niemniej dobrem jest mówić o książce czytanej, usłyszyć zdanie innych, objawić swoje i odczytywać krytyki jej i rozbiory, wszystko to bardzo się przyczynia do wyrobienia zdania.

Niejedna z czytelniczek żżymać się może będzie na ten program i zarzuci mi, że oszczędzając czas tyle go radzę zużywać niekierującym się na literatki, a jednak czy zgodziłaby się która z tych pań być na balu a nie tańczyć, mieć piękną suknię i nigdy się w nią nie ubrać, trzymać igłę w ręku i nic nią nie uszyć? Zapewnie że nie, a przecież jest to to samo co przeczytać książkę, poświęcić jej kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin czasu i tyle tylko na tem zyskać, że się tytuł spamięta i treść, o ile on ją przypomina. Są szczęśliwe pamięci, które całe ustępy zapamiętać mogą, ale niemniej treść pozostaje dla nich martwą literą, bo nie wniknęły w ducha książki, nie zespoliły się z myślą autora.

Czy i mnie ten sam los spotka, czy przeczytawszy tych kilka słów odrzucicie Tygodnik Mód tak obojętnie jakieście go brały, i nie przyjdzie wam nawet na myśl spróbować czy rady moje możebne są do wykonania? Ze smutkiem wyznaję, że tego losu się spodziewam, a jednak niechby tylko dziesiąta część moich Czytelniczek zastanowiła się szczerze nad tem co czyta i jak czyta, jużbym za dowolnioną była, bo pewna jestem, że przeprowadziłaby reformę w swojem czytaniu idąc za mojemi wskazówkami lub też własny swój system przeprowadzając zastosowany do okoliczności, usposobienia i zdolności.

Na zakończenie jeszcze jedno słówko o wyborze książek. Dzieła naukowe poważniejszej treści są tak znane ogólnie, że tylko według gustu wybierać pomiędzy niemi trzeba; co zaś do powieści, czekałabym zawsze, aby o niej mówić zaczęto, aby się wybiła na wierzch wśród powodzi miernych powiastek a w braku powieści na dobie, zapoznawałabym się z literaturą belletrystyczną dawniejszą: z Rzewuskim, Korzeniowskim, Kraszewskim (od drugiego okresu jego działalności), Kaczkowskim. W dalszą nawet epokę sięgając, powieści; Bronikowskiego, Skarbka i Niemcewicza, bo te nas zapoznawałyby z obyczajami dawniejszemi i dawały sposobność porównywania wyobrażeń ówczesnych z teraźniejszemi, co jest nieraz ciekawem i pouczającem.

O arcydziełach naszej literatury nie wspomniałam bo te obowiązkiem naszym jest znać doskonale i z pociechą powiedzieć można, że po większej części obowiązek ten spełniamy, starajmy się więc tylko lepiej je rozumieć od nich zaczynając kształcenie się nasze umysłowe.

Gozdawa.

WANDA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Na podaniach polskich osnuty,

napisany wierszem rymowym

przez

JÓZEFA GRAJNERTA.

Z muzyką do kilku pieśni

ś. p. St. Moniuszki.

(Wykończony ostatecznie w Warszawie d. 26 Września 1880 r.)

(Dalszy ciąg).

Akt IV.

(Noc. Namiot Rytogara z dwoma wchodami, oświetlony kagańcami po bokach. U każdego wejścia Knecht zbrojny. Na ławie siedzi Rytogar w świetnej zbroi; na drugiej leży hełm jego z orlemi skrzydłami, i stoją dzbany duże.)

Scena pierwsza.

(Wchodzi Ulryk.)

RYTOGAR.

Co tam nowego?

ULRYK.

Za Wisłą u brzegu
Wojska się Wandy ścieląc do noclegu,
Już palą ognie w milowéj przestrzeni.

RYTOGAR.

Na milę brzeg się krwią lacką zczerwieni.

ULRYK.

Szpiegi donoszą, że z Wisły padołu
Ciągnie im pomoc.

RYTOGAR.

Czy Egbert nie wrócił?

ULRYK.

Ztąd o staj dziesięć miał się zejść pospołu
Z posłem od Wandy na połowie drogi.
Patrzyłem, zanim mrok ziemię porzucił, —
Widziałem owo pół-bóstwo, pół-człeka.

RYTOGAR.

Wandę?

ULRYK.

Tak, wzniosłą jak wojenne bogi,
Jak górna Holda wspaniałéj postawy;
Tocząc rumakiem na wzgórzu, zdaleka
Mieczem, znać, ku nam wytkła drogę sławy.
Po chwili dumnie chorągwią powiała,
Jakby jéj płachtą zwiać nam hufce chciała.

RYTOGAR.

Drogo przypłaci żarty z nami krwawe;
Nim Bellen jutrznią czoła gór zrumieni,
Grom spadnie, ścierw ich dam sępom na strawę.

ULRYK.

Prędzéj świat zginie, niż się ta pierś zmieni;
Lecz może Lesi chcieć będą przymierza
Pierwéj niż walki? Wszak nad łbem rycerza
Wandy stryk wisi?

RYTOGAR.

Klnę się na Donnara,
Gdy nie powiodę jéj przed me ołtarze,
Jak psa powiesić Bogdala rozkażę;
Poznają Sklawy ramię Rytogara!

(Słychać dźwięk trąby.)

ULRYK.

Egbert powraca.

RYTOGAR.

Cóż wróżysz, Ulryku?

ULRYK.

Gdym zbroję wdziewał, na naramienniku
Obręcz mi pękła, — to nie dobrze wróży...

(Wchodzą Egbert i Skarbimirz.)

RYTOGAR.

Jakaż wieść?

EGBERT.

Skutek nie zwieńczył podróży.
Wanda z ust tego rzec kazała posła:
Że nad powaby miłosnego wianka,
Nad ocalenie drogich dni kochanka
Miłość ojczyzny stokroć wyżéj wzniosła;
Jego śmierć krwawe sercu zada blizny,
Lecz stokroć sroższym byłby zgon ojczyzny:
Bo razem z sercem zabiłby i duszę.

RYTOGAR *(na stronie).*

Żywą lub martwą, posiadać ją muszę.

(Głośno.)

Co chce ten rycerz?

SKARBIMIRZ.

Jam poseł, lechita,
Jedyny, który wasz język rozumié,
I który, książę! twej niewczesnéj dumie
Cuglem rozwagi hamulec dać pragnie.
Wierzaj mi, wodzu, oręż najezdniczy
Szyi królowéj twym planom nie nagnie.
Naród nasz, nasi lechiccy rycerze,
Ze światem całym pragną mieć przymierze.
Naród nasz wielkie przymioty dziedziczy:
Kocha się w roli, na cudze nie łasy,
W pokoju wznosząc pasterskie szałasy,
We lwa każdego z pasterzy rozplemi,
Gdy mu kto wydrzeć chce jedną piędź ziemi.
Ostrzegam, książę! Chrobre Polan woje,
Na hasło swojéj królewskiéj bogini,
Mogą zniweczyć dumne hufce twoje.
Niechże cię bogów sąd o gwałt nie wini, —
Puść nam za okup Bogdala, co szczerze,
Wręcz na bój zwał cię, jak walczą rycerze;
Przyjm hojne myto, i wróć w kraje Łaby.

(W czasie téj mowy wchodzi Herald i staje na boku.)

RYTOGAR.

Ha! prędzéj stryczkiem sam się zdławić każę,
Niż dam, by hufce me zwalczyły raby!
Późnoś się wybrał, groźba nie na dobie.
Idź! —

SKARBIMIRZ.

Więc bój i biada! Zadrżysz, Rytogarze.—

(Wychodzi.)

RYTOGAR.

Za nim ja zadrżę, poprzykładać pierwéj
Każę do piersi waszych żon szczenięta...
Długo ta ziemia gniew mój popamięta!...

(Spostrzega Heralda).

Ha! jakież wieści od téj tam Minerwy?
Cóż, milczysz jak słup?

HERALD.

Czczę świętą dziewicę,
Przed którą grzeszne mię kroki zawiodły.
Zaiste, książę! nad Wandy koroną
Przesławny Krakus czuwa z za mogiły;
Stworzywszy dotąd nieznane tam siły,
Snopy łask zesłał na Lechów ziemicę;
Pod jego córy czarującą dłonią
Starce i młodzi — wszyscy tam pod bronią.
Kocham swój naród, pragnę jego sławy, —
Lecz chcę cię, wodzu, zwrócić na szlak prawy:
Pomnij, tron kruchy na gwałtach oparty,
A runy spiszą czarnych ohyd karty!

RYTOGAR *(powstawszy).*

Zdrajco! zaszczekać nie dam ci raz wtóry.
Héj! knechty — wziąć go!

HERALD *(dobywszy miecza).*

Precz ztąd, nędzne gbury!
Książę! nie jestem twoim niewolnikiem,
Prawa jurgieltu służą méj drużynie, —
Jam władzcą burgu!

RYTOGAR.

Lecz moim lennikiem.

(Do Knechtów.)

Dalejże!

(Egbert i Ulryk dobywają groźnie mieczy; Knechty chwytają Heralda za ręce i miecz mu wytrącają.)

RYTOGAR.

Ciało plugawéj gadzinie
Do czterech końskich przytroczyć ogonów,
I puścić zdrajcę w cztery strony świata.

HERALD *(wychodząc prowadzony przez Knechtów i Egberta).*

Krew moja zrodzi pomstę z tych zagonów,
Na których zginę!

RYTOGAR *(do Ulryka).*

Zdwoić nocne czaty;
Bez szumu rozkaz niech wypełnią katy.

(Ulryk wychodzi.)

RYTOGAR *(sam).*

Źle! — Kraj ten, widzę, czarami oplata
Wszystkich. Czas trwonim. Gdyby tak na dworze
Nie było ciemno, pchnąłbym harcowniki
Na bój. — Potrzeba nam śpieszyć. — Gdy zorze
Błysną, piorunem złamię chłopów szyki, —
I kraj zagarnę.

(Siadając na ławie, popija z dzbana.)

KNECHT 1-szy *(wracając).*

Już Herald nie żyje!

RYTOGAR.

Podły! za zdrowie jego duszkiem piję.

(Popija znowu.)

Zdrajca!

(Wchodzi Knecht 2-gi z Leszkiem obłąkanym, w dawnej poszarpanéj purpurze z wieńcem słomianym na głowie, ubranym dziwacznie w kwiaty. W ręku ma kostur okręcony w jeża.)

Scena druga.

KNECHT 2-gi.

Ten żebrak złapany w obozie,
Znać, szpieg.

RYTOGAR.

Zapomniał nędznik o powrozie, —
Ktoś ty?

LESZEK.

Ja truteń i pan.

RYTOGAR.

Co nikczemny
Bredzisz?

LESZEK.

To tytuł nam, książę, wzajemny:
Kiedym był wielkim, jadłem drugich plony. —
Ty po coś przyszedł jeść obce zagony?
Boś truteń!

RYTOGAR.

Łotrze! wbić cię na pal każę.

LESZEK *(wstrząsając kosturem).*

Ho, ho! zobaczym, jak berło pokaże?
Obaśmy bracia! Ja mać oślepiłem,
I ty oślepiasz swoją, mój kochany.

RYTOGAR.

Kłamiesz, ja dawno już matkę straciłem.

LESZEK.

Ho! to ją stracą i wszystkie Allmany.
Bo widzisz, bratku... człek ma dwie macierze,
Tak wierzą u nas.

RYTOGAR.

Ale ja nie wierzę.

LESZEK.

Jedna mać pieśni nad kolebką śpiewa,
Druga mać wszystkich żywi i odziewa;
Mniejsza ci zmarła, większa ślepą skona...
Mnóstwo jéj dzieci wyrwiesz na rzeź z łona.
O! gwałtu, siebie oślepisz i matkę...
Jak mi się jeść chce!

RYTOGAR.

Szalony! zkąd ciebie
Wicher tu przygnał?

LESZEK.

Wprost idę od siebie.
Chcesz? to ci powiem tak ładną zagadkę!
Był ktoś, co syna zamordował króla,
Siadł na stolicy, w sercu nosił móla,
Oślepił matkę, przeklęła go ona,
A matka-ziemia nie wzięła w głąb' łona.
Dziś, kędy stąpnie, ziemia pali stopy,
Plują mu w oczy rycerze i chłopy;
Czy idzie smugiem, czy lasem i borem,
Psy wyją za nim, jak za bladym Morem;
Gdzie spojrzy, tam się młódź rozstaje z tanem,
A matki dziatwę straszą jego mianem;
Kędy odsunie zaporę wieśniaka,
Tam kamień nie chléb dla króla-żebraka!

Lecz król-wygnaniec dostał druha, który
Razem w twój obóz przyszedł het! z za góry.

RYTOGAR.

Któż się ośmielił?

LESZEK.

Głód, głód, mój kochanku!
Widzisz, jak klechdam! — Alem jak pies głodny.
Wiatr mię podszywa, wieczorek tak chłodny!
Słuchaj, ty piwo pewnie masz w tym dzbanku?
Daj! niechaj truteń pragnienie ugasi, —
Daj! bo dość piwa nawarzą ci nasi...

(Zaczyna mocniéj szaleć.)

O! krwi, krwi dajcie mi wypić puhary...

(Patrzy w ziemię ponuro.)

Czegóż tak na mnie patrzysz, sępie stary!
Widzicie! — Z piersi Lumira krew chlupa. —
Jeść — jeść! Och! zapach doleciał mię trupa.

RYTOGAR *(do siebie)*.

To Leszek!

(Głośno).

Słuchaj, przy zdrowszym twym zmyśle
Mógłbym cię użyć. —

LESZEK.

Niech mię książę wyśle
Do samych piekieł, jak laufer się sprawię. —
Ale jeść! — głodu paszczękę niech zdławię...
Jeść — daj jeść!

RYTOGAR.

Słuchaj, czerepie szalony,
Gdy mi się sprawisz, będzie chléb obfity;
Ot, idź nad rzekę wśród nocnej opony,
Gdzie Wandy namiot bieleje rozbity:
Patrz! Oto sztylet, — pełznąc po zagonie,
Skryty ćmą, utop go w téj dziewki łonie.

LESZEK.

Daj, daj, mój bratku! pożrzę go odrazu.

(Odebrawszy sztylet wkłada go do ust.)

Brrm! to żelazo?

(Rzuca sztylet.)

Nic z twego rozkazu!

RYTOGAR *(powstawszy, do Knechta 1-go)*.

To Lach! wypędzić, i obciąć mu uszy, —
Zawiele słyszał.

LESZEK.

Ha! to może zgłuszy
Mi głód uparty?

(Knecht 1-szy wyprowadza Leszka.)

RYTOGAR *(do Knechta 2-go)*.

Przywiedź niewolnika.

(Knecht 2-gi wychodzi.)

Sprobuję groźby, nim użyję stryka.
Hardy knecht! śmiał mię wyzywać na rękę,
Mnie, Allemanów wodza, księcia z rodu?
Lecz wprzódy słońce wstanie od zachodu,
Niż miecz mój zewrę z szują w pojedynkę.
Wolnéj a strasznéj podam go torturze,
Aż zmięknie upór, jako śnieg na górze.

KNECHT 1-szy *(powróciwszy)*.

Już Lach wygnany.

RYTOGAR.

Żal mi, że języka
Mu nie wyrwałeś. Ostrzem mię przenika
Zuchwalstwo Sklawa, co niegdyś wścieczony
Zabił Dybalta, i mój plan tajony
Zgnębił głupotą. —

(Siada na ławie.)

(Wchodzi Bogdal w okowach, za nim Knecht 2-gi.)

Scena trzecia.

(Ciż sami, Bogdal.)

RYTOGAR.

Kochanku królowej!
Dziś od krakowskiéj przyszła wieść dąbrowy,
Że Wanda ledwie garstkę ma rycerzy,
Że się i popłoch w tłuszczach gminu szerzy,
Co z kosą przyszedł na nasze pancerze.

BOGDAL.

Ja w popłoch ludu naszego nie wierzę.

RYTOGAR.

Płochą niewiarą sam się zdławisz marnie;
Wiedz, żem zgotował dla ciebie męczarnie:
Nim bój rozpocznę przed świtem z Polany,
Twą duszę złączę z cieniami Walhali.
Lecz jesteś w mocy rozkuć swe kajdany:
Twa cię uległość od śmierci ocali;
Uderz mi czołem. Pełniąc me zamiary,
Poznasz, jak hojnie płacą Rytogary;
Bo gdy podzielę z Wandą tron i łoże, —
Na ciebie łańcuch Wojewody włożę.

BOGDAL.

Kraj nasz jest wolny jak orzeł wzbujały,
Ma wielkie serca, miecze ma i strzały;
Z temi darami wielkiego Perona
Nawet piekielna moc go nie pokona.
Jam chciał oszczędzić krwi méj braci w boju,
Przyszedłem wojnę roztrzygnąć w pokoju,
Zwąc cię na rękę zwyczajem rycerskim,
A ty jakimże wzorem bohaterskim
Uwiedzion, pętasz wolne posła nogi?!

RYTOGAR.

Słuchaj! przechwałki twe jak liść jesieni
Nasz wicher wojenny rozwieje, w nic zmieni.
Nas-że rycerskich praw śmią uczyć wrogi! —
Nigdy Germany tyle wojsk nie miały,
Ile ich mieści mój obóz wspaniały.
Ciebie konaniu dziś dam powolnemu,
Rozkażę obciąć członki po jednemu,
I język wyrwę i oczy wyparzę,
Gdy swą odsuniesz rękę w mym zamiarze.
Po dwóch wyślijmy posłów na pół drogi
Od każdéj strony, — ty przysiąż na bogi,
Iż wraz posłując z naszymi posłami,
Głośno wyrzeczesz rozbrat ze ślubami,
Jakie cię wiążą z Lechitów królową.
Przyczem wymożesz sojusz zręczną mową,
A gdy wraz z Wandą będzie kraj zdobyty,
Przysięgam tobie książęce zaszczyty.

BOGDAL.

Gdybym był pewnym, że nasza królowa
Na me zwodnicze przystałaby słowa,
Pierwszybym oszczep utopił w jéj łonie,
By z krwią jéj spłynął wszczęty zaród zdrady, —
Tak mi dopomóż wielki nasz Peronie.
Oto pierś, uderz!

RYTOGAR.

Widzę, nie ma rady!

(Po chwili do Knechta 2-go.)

Odprowadź więźnia, niech czeka u kata.

(Knecht 2-gi z Bogdalem wychodzą lewą stroną namiotu.)

RYTOGAR *(przechadzając się)*.

Nigdyż z Germanem Lach się nie pobrata?!...
Bądźmyż nie druhy dla nich, ale, katy...
Czy też w porządku stoją w koło czaty?

(Wychodzi lewą stroną namiotu wraz z Knechtami.)

(D. c. n.)

PRUSACY W FRANKFURCIE.

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

Pan von Boesewerk miał lat przeszło pięćdziesiąt, dość wysoki, dobrze zbudowany, prawie łysy, siwy, wąsy tylko miał bujne i gęste, a na lewym policzku bliznę, ślad odbytego pojedynku w uniwersytecie getyngskim.

Gdy przybył do pałacu, doszła tam już wieść o zamachu. Korzystając z przywileju pierwszego ministra, dozwalającego mu przystępu do króla o każdej porze, chciał wejść do gabinetu monarchy, ale służbowy oficer zastąpił mu ode drzwi, mówiąc:

— Wasza Excelencya daruje, ale w tej chwili nikomu nie wolno wchodzić.

— Nawet mnie?

— Nawet Waszej Excellencyi, odrzekł z ukłonem.

Hrabia cofnął się o jeden krok, lekko skrzywiwszy usta — co z pewnością nie było uśmiechem. Następnie zaczął wpatrywać się, nie patrząc, w wielki krajobraz morski, zdobiący jedną ze ścian przedpokoju; po kwandransie oczekiwania drzwi się otwarły i hrabia usłyszał szelest atłasowej sukni; odwrócił się prędko i złożył nizki ukłon przechodzącej czterdziesto kilko letniej kobiecie, która zachowała ślady wielkiej piękności.

Była to królowa Marya-Ludwika-Augusta-Katarzyna, córka Karola-Fryderyka, księcia Sasko-Wejmarskiego, znana w Europie pod imieniem Augusty.

Więcej niż średniego wzrostu, cała jej postać ma w sobie coś nader pociągającego. Na lewej ręce królowa miała damski order królowej Ludwiki. Przeszła obok ministra poważna i dumna, i wbrew nawyknieniom swoim, ukłon jaki mu oddała nie był nacechowany dobrotliwym uśmiechem.

Widząc, któremi drzwiami wyszła i gdzie wchodzi, hrabia poznał, że była u króla i wraca do siebie. Drzwi do gabinetu króla pozostały otwarte, adiutant służbowy dał znać ministrowi, że teraz może wejść. Hrabia, głęboko pochylony, czekał póki nie zamknęły się drzwi któremi wyszła królowa, ścigając ją wzrokiem dopóki nie zniknęła w dalszych apartamentach.

— O! wiem dobrze, mówił sobie, iż brak mi tytułu barona, ale to nie przeszkadza, że umrę księciem.

I udał się w stronę wskazaną przez oficera. Służba i szambelani których spotykał, śpieszyli otwierać mu jedne po drugich drzwi prowadzące do gabinetu króla. Gdy stanął przed ostatniemi, szambelan zameldował głośno:

— Jego Excellencya, hrabia Edmond von Boesewerk!

Król stojący przed kominkiem drgnął i odwrócił się; zadziwiło go przybycie hrabiego Boesewerk, który ledwie przed kwadransem wyszedł od niego. Hrabia zadawał sobie pytanie; czy też król wie już o wypadku, jaki miał miejsce przed chwilą.

Gdy się drzwi otworzyły, król stał wsparty o kominek, z zakłopotaną miną. Miał wtedy lat 69, niepiękny, a oczy jego błyszczące niekiedy jak iskry, niknęły prawie pod gęstemi rzęsami i krze-

wistemi brwiami; najeżone faworyty i nastroszone wąsy przykry i niemiły wyraz nadawały jego twarzy. Miał na sobie niebieski mundur ze srebrnemi szlifami zapięty szczelnie od dołu do góry na dwa rzędy srebrnych guzików, z czerwonemi wypustkami przy kołnierzu i rękawach; szpadę zdobił bogaty pendent. Monarcha miał na sobie wielki krzyż orderu Orła Czarnego, zawieszony na wstędze białej z pomarańczowem. Nieco nosowy głos jego przypominał wymowę Fryderyka Wielkiego.

Minister skłonił się głęboko.

— N. Panie, rzekł, nader ważne okoliczności zniewoliły mnie stawić się znowu przed W. K. Mością; ale widzę, niestety! że przybyłem w niewłaściwej chwili.

— Czemu? zapytał król.

— Ponieważ przybywszy tu, miałem zaszczyt spotkać w przedpokoju królowę, a że nie mam szczęścia posiadać łaski J. K. Mości...

— Jużto, nie przeczę ci, hrabio, że królowa ma do ciebie pewne uprzedzenie...

— Niesłuszne N. Panie; bo bezgraniczne moje poświęcenie nie odłącza w nadziejach i zamiarach jakie żywię, króla Wilhelma od dostojnej jego małżonki, i gdy król zostanie cesarzem, królowa cesarską koroną ozdobi swe skronie.

— Jest to, kochany hrabio, marzenie rozbujałej wyobraźni, niegodne poważnego umysłu.

— N. Panie, zjednoczenie Niemiec jest zapisane w wyrokach Opatrzności, podobnie zapisanem było zjednoczenie Włoch.

— Bah! rzekł śmiejąc się król, piękne mi zjednoczone Włochy, bez Rzymu i bez Wenecyi.

— Włochy urządzają się powoli; ruch ich rozpoczął się w r. 1859 i nie zatrzyma się w drodze. Zdaje się że został wstrzymany, nie — to tylko wypoczynek dla nabrania sił.

— Co prawda, obiecaliśmy im Wenecyę.

— Tak, ale nie od nas ją dostaną.

— A od kogóż?

— Od Francyi, która już dała im Lombardję i pozwoliła wziąć Neapol i księztwa.

— Francya! rzekł król, Francya zezwoliła na to wszystko trochę mimowolnie.

— Czy W. K. Mość zna już ostatnie depesze telegraficzne, nadeszłe podczas mojej bytności w pałacu; oddano mi je gdym wychodził.

— Chcesz mówić o przemowie cesarza Napoleona III, odrzekł król z pewnem zakłopotaniem.

— Tak, N. Panie; ta mowa cesarza francuzkiego to zapowiedź wojny nietylko z Austryą ale z Prusami. Znaczy ona że Włochy dostaną Wenecyą, a Francya zabierze Ren. Jeźli więc zostawimy Francyi czas do uzbrojenia się — położenie może być groźnem, ale jeźli nagle i z odpowiednią siłą napadniemy Austryą, staniemy nad Mołdawą w 300,000 żołnierzy, zanim Francya stanie nad Renem w 50,000.

— Zanadto lekceważysz Austryą, kochany hrabio; chełpliwość naszej młodzieży zawróciła ci głowę.

— Pozwól mi W. K. Mość powiedzieć, że zdanie moje znajduje poparcie w opinii następcy tronu i księcia Frederyka-Karola, a ostatni jako urodzony w 1801 r. nie jest przecie młodzieńcem. Ale w tak ważnych sprawach zwykłem radzić się tylko własnych przekonań, i na nich się opierając, mam zaszczyt oznajmić: w wojnie z Prusami Austryacy zostaną pobici.

— Pobici! pobici! powtórzył król z powątpiewaniem; wszak sam nieraz, hrabio, chwaliłeś austryackich żołnierzy i jenerałów, a nie tak łatwo przecież pokonać dobrych żołnierzy, którym przywodzą dobrzy jenerałowie.

— Austrya ma dobrych żołnierzy i dobrych jenerałów, ale zwyciężymy ich, dzięki daleko lepszej organizacyi naszej i uzbrojeniu. Gdy nakłoniłem W. K. M. do wojny szlezwickiej, której W K. M. rozpocząć nie chciałeś...

— Gdybym jej był nie chciał, panie ministrze, nie byłaby miała miejsca.

— Najniezawodniej N. Panie; ale przyzna W. K. M. iż tylko usilne nalegania moje zdołały ją nakłonić.

— I cóż tak dobrego wynikło z tej twojej wojny szlezwickiej? Wojna Niemiec.

— Najpierwej; lubię wyraźnie rozstrzygnięte sytuacye, i z tego punktu widzenia uważam wojnę niemiecką za nieuchronną, i winszuję jej W. K. M.

— Wytłomacz-że się jaśniej, hrabio.

— W. K. Mość zapomina, że odbyłem kampanię z armią pruską; czyniąc to nie miałem na celu niedorzecznej przyjemności słuchania huku dział, liczenia poległych i sypiania na polu bitwy bynajmniej nie zalecającego się wygodą — ani nawet dla dania W. K. Mości dwóch portów na Baltyku, tak bardzo potrzebnych. Nie, ja chciałem poznać i zbadać dokładnie organizacyę austryacką. Otóż przekonałem się, że jest zaufana pod każdym względem, tak co do wyćwiczenia żołnierzy, jak co do karności i uzbrojenia. Austryacy mają złą broń, złe działa, zły proch — co wszystko my mamy doskonałe. Tak więc w wojnie z nami muszą zostać pobici i stracić całą przewagę w Niemczech, która wtedy przypadnie Prussom.

— Tak, bardzo też Prussy nadają się do tego, aby ze swoją 18,000,000-wą ludnością, mogły przewodzić ludności 60,000,000-wej. Przypatrz się tylko ślicznemu ich ukształtowaniu na mapie.

— Właśnie już od trzech lat rozpatruję się w tej mapie, i czekam tylko stosownej chwili aby jej inną nadać postać. Musiało im być dyabelnie pilno na kongresie wiedeńskim, kiedy mogli pofabrykować podobne królestwo. Skutkiem tego Niemcy nie są nawet pozszywane, ale tylko sfastrygowane. A Prusy? to wielki wąż sięgający głową do Thionville a ogonem do Memla, mający wielki garb na żołądku z powodu połknięcia połowy Saksonii. Jest to królestwo przecięte na dwie części innem królestwem, to jest Hanowerem, tak że nie możesz W. K. Mość udać się do swoich prowincyi, nie opuściwszy swego państwa. Czyż nie uznajesz, N. Panie, że musisz posiąść Hanower.

— Na co nigdy nie zezwoli Anglia.

— Anglia! minęły czasy Pitt'a i Koburga; dziś Anglia, pokorna służka szkoły manszesterskiej, Gladstone'a, Cobden'a i ich uczni, ani jednem słówkiem nie ujmie się za Hanowerem, zarówno jak nie ujęła się za Danią. Potrzebna nam jeszcze Saksonia.

— Tej Francya tknąć nie pozwoli, przez samą wdzięczność dla starego króla, który pozostał jej wiernym w 1813 roku.

— Zapewnie, jeźli zechcemy połknąć odrazu za duży kawał, ale jeźli poprzestaniemy na skrawkach, Francya zamknie oczy, a przynajmniej jedno. Zdałaby nam się jeszcze Hessya.

— Rzesza nigdy nie odda nam całej Hessyi.

— Byle oddała połowę, nie żądamy więcej. Dalej konieczny by nam był Frankfurt nad Menem.

— Frankfurt nad Menem!... miasto najzupełniej wolne, siedlisko sejmu...

— Sejm pogrzebany zostaje z chwilą w której Prussy, zamiast ośmnastu, liczyć będą 30 milionów ludności. Odtąd Prusy będą Sejmem, z tą jedynie różnicą, że zamiast *My chcemy*, powiedzą *Ja chcę!*

— Cała Rzesza zwróciłaby się przeciw nam i połączyła z Austryą.

— Tego nam właśnie trzeba, bo pokonawszy Austryę, tem samem pokonamy Rzeszę.

— Milion żołnierzy stanęłoby przeciwko nam. Sama Austrya wystawi 450,000.

— Zgoda.

— Dodajmy do tego 250,000 które wycofa z Wenecyi.

— Cesarz austryacki nie odda Wenecyi, chyba po dwóch lub trzech wygranych bitwach, a po dziesięciu, jeźli będzie pobity. Nie bierzmy więc w rachubę Wenecyi.

— Bawarya 160,000 żołnierzy.

— Ta się nie liczy, król Ludwik zanadto zamiłowany jest w muzyce, aby huk dział mógł mu być miłym.

— Hanower 25,000 ludzi, Saksonia 15,000.

— Starczą na jeden kąsek przy pierwszem spotkaniu.

— Sama Rzesza rozporządza przeszło 150,000 żołnierzy.

— Rzesza nie będzie mieć czasu na samo ich uzbrojenie — tylko powinniśmy rozpocząć działanie nie tracąc ani chwili; to też przyszedłem oznajmić W. K. Mości: albo wojna, zwycięztwo i hegemonia Prus w całych Niemczech, albo...

— Albo?

— Albo składam u stóp W. K. Mości moją dymisyę.

— Cóż to masz na ręku, panie hrabio, wyraźnie jakby krew?

— Być może.

— Więc rzeczywiście chciano cię zabić i strzelano dwa razy?

— Pięć razy, N. Panie.

— Ale nie jesteś mocno ranny?

— Nie, zostałem tylko zadraśnięty w mały palec.

— Jak się nazywa zabójca?

— Nie wiem, zapomniałem zapytać go o to... a z resztą to rzecz prokuratora jeneralnego, mam dość swoich spraw, nie mieszam się do cudzych. A moje sprawy, to sprawy W. K. Mości.

— Więc czegóż żądasz, hrabio?

— Rozwiązania Izby zaraz jutro, pojutrze uruchomienia landwery i wypowiedzenia wojny za ośm dni — w przeciwnym razie, proszę o dymisyę.

I nie czekając odpowiedzi, hrabia Boesewerk złożył głęboki ukłon, i zgodnie z etykietą dworską, cofając się wyszedł z gabinetu. Król nie wyrzekł ani słówka aby zatrzymać ministra, ale nim tenże drzwi zamknął, usłyszał tak nagły i silny odgłos dzwonka, iż niezawodnie musiał się rozledz w całym pałacu.

(D. c. n.)

DUMANIA NA STEPIE.

(Strofy oderwane.)

Pusto w koło... Żadnej duszy
Przyjacielskiej lub życzliwej...
I nikogo ból nie wzruszy,
Co się gnieździ w piersi tkliwej...

Westchnę tylko patrząc w górę,
Łza tajona cicho spłynie...
Bo nad sobą widzę chmurę,
A przed sobą — czczą pustynię...

Na równinie wiater wieje,
Polną trawkę mocno chwieje;
Polna trawka się kołysze,
Błogosławiąc w duchu... ciszę...

Na równinie wiater wyje,
Polnych kwiatów zgina szyje;
Polne kwiaty się kłaniają...
Błogiej ciszy wyglądają...

Na równinie wiater szumi,
Lecz tęsknoty nie przytłumi;
Ach, tęsknoty w głębi duszy
Nawet burza nie zagłuszy...

Jasne słońce już zachodzi
Za dalekie góry;
Wiater wieje, ziemię chłodzi
I napędza chmury...

Ah, me słonko również zgasło
Na skalistej górze...
Czarną chmurą życie zaszło,
Choć przebrzmiały burze...

Noc zaległa na równinie,
A tęsknota w duszy...
Błyśnie słońce, noc przeminie,
Lecz kto łzy osuszy?...

Błogo drzemie step dokoła,
Smutek wciąż kołacze...
Tak tu cicho, nikt nie woła,
Pocóż serce płacze?...

Noc już pierzcha... szlak bieleje
Śród ciemnego tła...
W dali skały... las czernieje...
Pnie się ranna mgła...

Szlak się wije dołem, górą,
Naokoło ciemny las...
Ah w tym lesie tak ponuro:
Złomy, próchno, sterczy głaz...

Samotny na skale spoglądam w tę stronę,
Gdzie lata mej wiosny płynęły pogodnie,
Gdzie z matką mawiałem: „Pod Twoją obronę",
A ojciec do pracy zaprawiał łagodnie...
O dawne to dzieje i kraj ten daleki,
I głosy te dawno zamilkły na wieki,
A jednak w mej duszy przetrwały wspomnienia,
Tak żywe i jasne, jakoby widzenia...

Doznałem już wiele i czułem niemało...
Przeszedłem przez burze i długie katusze,
Gdy życie się nieraz boleśnie łamało
I nieraz zwątpienie nękało mą duszę...
Dziś smutny rozbitek, na stepie rzucony,
Na siłach upadły i walką zbiedzony,

Uciekam od ludzi.... i czasem na skale,
Gdy cisza wieczorna otoczy mnie wkoło,
Zapadam w dumanie... i lecę zuchwale
W te czasy promienne płynące wesoło...
I zda mi się, widzę gromadkę rodzinną,
Jak ongi spokojną, pobożną i czynną,
Odczuwam jej miłość... przychylne spojrzenie...
Ah, czemuż, niestety, to tylko marzenie?...

Stroma droga pnie się w górę...
W koło nagie sterczą skały,
Takie smutne i ponure,
Jak w jesieni kraj ten cały...

Niebo chmurne... deszczyk rosi...
Mgła się wspina na urwiska...
Choć spokoju dusza prosi,
Iść potrzeba... droga śliska...

A więc idę krok za krokiem
I rozglądam się po świecie:
Deszczyk snuje się przed wzrokiem,
A tęsknota serce gniecie...

Nigdzie światła ni zieleni:
Świat posępny, głuchy, szary...
A nad ziemią śród przestrzeni
Jakieś chwiejne lecą mary...

Lecą, lecą w górze gnane,
Lekkie, płowe z mgły poczęte,
W dziwne kształty pogmatwane,
Niepochwytne, nieujęte. .

Lecą, wiją się i plączą,
Nieco niżej, to znów wyżej,
To się zleją, to rozłączą,
A wciąż gonią coraz chyżej...

Czy to dusze z chwiejną wolą
Śród obszarów się unoszą,
I za grzechy, co wciąż bolą,
Łzami żalu ziemię roszą?...

Lub złe duchy w słotnej porze
Z piekła dziki taniec wiodą,
By pohulać, jak kto może,
I nacieszyć się swobodą?...

Któż to zgadnie?... Mniejsza o to...
Dość że wir ten rwie się, kłębi,
I zalewa szarą słotą
Cały obszar, aż do głębi...

Świat ponury w tej osłonie
Coraz mniejszym się wydaje,
Coraz głębiej we mgle tonie
I mgła tylko pozostaje...

Wionie wiater, mgła się toczy
I rozpływa na wyżynie...
Chłód przenika... deszczyk mroczy...
I znów wsystko we mgle ginie...

Ah, tak w duszy mej zbolałej
Kir nieszczęścia wszystko kryje...
W reszcie życia pozostałej
Myśl posępna wciąż się wije...

I nic smutku nie rozproszy,
Jak nie wróci nic z przeszłości...
Próżno marzyć o rozkoszy,
Gdy już pora złożyć kości...

Głód nie pieści i nie bawi,
A jak głodu nie uśmierzy...
Ej, choć boleść nęka, dławi,
Idźmy dalej... bo czas bieży...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

X.

Ze starodawnych pomników Zagrzeb posiada tylko dwa kościoły: katedrę i kościół Ś. Marka, wielokrotnie już niszczone i odnawiane. (Co, niestety! znów miało miejsce podczas strasznego ostatniego trzęsienia ziemi.) Budowa pierwszej sięga XII wieku; Ś. Marka zaś XIV. Kościoły; Ś. Jana, Ś. Piotra, Franciszkanów, P. Maryi, Ś. Katarzyny są daleko późniejsze. Przed reformą wprowadzoną za Józefa II, dzisiejszy kościół Panny Maryi był kaplicą klasztoru Benedyktynów, zaś kościół Ś. Katarzyny, wzniesiony za panowania Maryi-Teresy, jest dziś kościołem gimnazyalnym i uniwersyteckim.

W niższem mieście, w miejscu gdzie stał dawniej kościół Ś. Małgorzaty, Grecy wznieśli niedawno kościół swego wyznania, synagoga żydowska stoi przy ulicy Maryi-Waleryi. Jakkolwiek Chorwaci są gorliwemi katolikami, jednakże odznaczają się wielką tolerancyą, zostawiając każdemu zupełną swobodę sumienia i wyznania.

Katedra jest pod wezwaniem Ś. Stefana, będącego patronem wszystkich prawie katolików wschodniej Europy; lud nazywa go „świętym królem" *Svet krali*. Zagrzebianie najczęściej katedrę swoją nazywają *crkva sveti Kralji* kościół Ś. króla. Wewnętrzna jego architektura jest w czystym stylu gotyckim; potrójna nawa wspiera się na lekkiej kolumnadzie, przy filarach której wznoszą się piękne marmurowe ołtarze, oraz liczne figury, posągi, ozdobne frontony i malowania, zdradzające włoski zmak XVIII wieku, cechujący sztukę dekoracyjną sa panowania Maryi-Teresy. Marmurowa kazalnica jest pomnikowem dziełem sztuki. Po nad łukowatą oprawą drzwi wchodowych wznosi się figura Chrystusa w otoczeniu dwunastu apostołów.

Okna chóru zdobią piękne malowania, przedstawiające sceny z życia Chrystusa i N. Dziewicy. Dwa medaliony przypominają epizody z życia św. Władysława i św. Stefana, królów Węgier i Chorwacyi. Główne okno w głębi przedstawia Wniebowzięcie N. Maryi Panny, według Anibala.

Wspaniałe te okna ofiarował do katedry I. Emminencya kardynał Haulicz, arcybiskup zagrzebski, którego książęca tradycyonalna hojność chorwackich dygnitarzy duchownych obdarzyła miasto zakładem Siostr miłosierdzia, w którym wychowują sieroty, co kosztowało go 150,000 guldenów oraz domem schronienia dla wdów na który poświęcił 50,000 florenów. Z okoliczności swego 50-letniego jubileuszu przeznaczył 80 tysięcy florenów dla rozdania po parafiach ubogim wszelkich wyznań. Nadto przyczynił się do założenia Akademii, przeznaczając na ten cel 30,000 florenów i darował kapitule swój przepyszny park *Maximir* (wypoczynek Maxa) którym Chorwacya słusznie się chlubi. Wdzięczni rodacy za tak wspaniałomyślną hojność, wznieśli w tymże parku, na uczczenie pamięci jego, pomnik z białego marmuru, przedstawiający patrona kardynała-arcybiskupa św. Jerzego, depczącego smoka.

J. Em. kardynał Haulicz urodził się w Trnawie (w Węgrzech) w r. 1787, umarł w 1869 r. Za jego episkopatu biskupstwo zagrzebskie podniesione zostało do godności arcybiskupstwa.

Pałac arcybiskupa zagrzebskiego podobny jest do fortecy; najeżony wielkiemi okrągłemi wieżycami, połączonemi z murem okalającym katedrę, mógłby w razie potrzeby bronić ją od najścia wojsk nieprzyjacielskich. W tym też celu wieżyce te i mury wzniesione zostały w 1510 roku i w ufortyfikowanem mieście prawdziwą stanowiły fortecę.

Wojenne te urządzenia broniące przystępu do katedry, zostaną zniesione przy zamierzonej restauracyi kościoła metropolitarnego, którego fasada i czworokątna wieża zastępująca dzwonicę, nie odpowiada charakterowi wewnętrznej architektury.

Po dziśdzień widać na fasadzie ślady kul tureckich i ślady restauracyi niezbędnych w następstwie wojen jakoteż uderzenia piorunu w r. 1624, który obalił dwie wieże, odbudowane, zarówno jak część katedry w 1590 roku.

Kościół Ś. Marka, stojący w środku wyższego miasta, między pałacami Bana i Sejmowym, jakkolwiek niebędący wzorem architektury, odznacza się przecież pewną oryginalnością. Jak w kościele katedralnym nawa składa się z trzech łukowatych arkad, podtrzymujących śpiczasty szczyt gmachu; w ścianach mieszczą się okna nierównej wielkości łukowato zakończone. Jest to jakby zewnętrzna postać domów chorwackich, zastosowana do kościoła. Dach jest stosunkowo zawielki do rozmiarów gmachu i zanadto wystający, przez co niedopuszcza blasku światła, rozjaśniającego zwykle sklepienia kościołów gotyckich.

Kościół ten zbudowany jest z werniksowanej cegły, pomalowanej w kolory narodowe, wśród których przedstawiają się herby miasta Zagrzebia oraz Trójjedynego królestwa Chorwacyi, Slawonii i Dalmacyi. Chór oświetlony jest wielkiemi oknami gotyckiemi, przez które na cały kościół pada łagodne światło.

Mało bardzo jest w Chorwacyi kościołów w tym stylu budowanych; może budowniczy Ś. Marka miał na względzie umocnienie jego nawy od zbyt często przytrafiających się tu trzęsień ziemi. W roku 1700 dwie wieże, z tego powodu zachwiane, obaliły się, obecnie istniejące, zostały później przybudowane.

W roku 1879 rozpoczęto bardzo umiejętnie prowadzoną restauracyę kościoła Ś. Marka, po ukończeniu której miano przystąpić do restauracyi katedry, której koszta obliczone na blizko 400,000 guldenów, miała ponieść kapituła metropolitarna, jedna z najbogatszych w dyecezyach katolickich wschodniej Europy.

W dawnych czasach biskupi zagrzebscy łączyli w swej osobie władzę duchowną oraz juryzdykcyę polityczną i wojskową, nadającą im najwyższą władzę nad ich wassalami. Gdy w XV i w XVI wieku trzeba było odpierać najazdy Turków, biskupi zwoływali liczne hufce, na których czele stawali osobiście; zaś pułkownikami byli kanonicy kapituły zagrzebskiej.

Takie wojsko biskupie nosiło nazwę *banderia*, a składający je szeregowcy zwali się *banderyalistami*. Używali oni pewnych przywilejów i praw rycerskich i zajmowali pośrednie stanowisko między poddaństwem a rycerstwem szlacheckiem. W języku chorwackim zwano ich *Slobodniaci* to jest „ludzie wolni".

Najgłówniejszy kontyngens tej milicyi stanowili wieśniacy turopolżańscy; po dziś wszyscy oni uważają się za szlachtę, a to ich szlachectwo zapewnie z powyższego wyrodziło się tytułu.

Największe, najgłówniejsze bitwy stoczone były na równinach Sawy, między Zagrzebiem i Sissekiem, w miejscowościach zwanych *Turko Polje* (tureckie pole) w pobliżu fortecy broniącej przejścia przez Sawę i Kulpę, której strzeżenie było obowiązkiem biskupa zagrzebskiego i kapituły. Aż do panowania Maryi Teresy, które w końcu zeszłego wieku położyło koniec wojnom Austryi z Turcyą, dowódzcą tej fortecy był zawsze jeden z kanoników zagrzebskich.

Te walki prowadzone w obronie swej wiary i wolności, stanowią chlubną kartę w dziejach Chorwacyi. Pomimo że Zagrzeb tak często bywał zagrożony, a katedra jego bombardowaną, nigdy jednak nie popadły w moc Turków, a kapituła zapisała w rocznikach swoich niejeden czyn bohaterski natchniony gorącą miłością ojczyzny, któremi Chorwacya słusznie się chlubi.

Jeden z biskupów zagrzebskich, Jan Zriński, poległ w obronie ojczyzny w pobliżu pałacu Virondola w 1542 roku. Niektórzy kanonicy pozyskali sławę wielkich wojowników. Do najsłynniejszych zaliczał się Franciszek Filipowicz, który w połowie XVI wieku odniósł wielkie nad Turkami zwycięztwa, i z tego powodu przezwany od nich został *Delipop* (bohaterski ksiądz.)

Raz jednak szczęście nie dopisało „bohaterskiemu księdzu". W roku 1573 został pobity na równinach Belowarskich, w pobliżu Iwanicz, pojmany w niewolę i popędzony do Konstantynopola. W kilka miesięcy później z kolei pobity został dowódzca turecki, jenerał Ibrahim Aga, i jako jeniec odprowadzony do Zagrzebia. Mieszkańcy Sisseku, będący niejednokrotnie świadkami męztwa Filipowicza, prosili o zamianę jeńców, aby wydać Turkom ich Agę, wzamian za zagrzebskiego kanonika. — Ban jednak nie zgodził się na to. Cesarz Maxymilian, który wysoko bardzo cenił męztwo i zdolności wojenne Filipowicza i dwóch jego towarzyszy niewoli, Jana Witkowicza i Gabryela Babonosisza, umówił się o okup za nich i wysłał żądaną summę do Konstantynopola. Nie doszła jednak na miejsce przeznaczenia, albowiem wysłańcy zostali w drodze zrabowani i zamordowani.

Znękany cierpieniami i złem obchodzeniem się w wstrętnem, cuchnącem więzieniu, Filipowicz stał się odstępcą, i przeniewierzając się zarazem swemu Bogu i ojczyźnie, przyjął dowództwo w armii wrogów pod nazwą „Mehmeta."

Niepodobna opisać oburzenia jakie wiadomość o tem wywołała w Zagrzebiu. Ludność otaczająca taką czcią i uwielbieniem bohaterskiego kapłana, dla zdrajcy zawrzała wzgardą i niepohamowanym gniewem. W domu jego zburzono drzwi i okna, zewnętrzne mury pociągnięto czarną farbą, żądając aby meble i wszystko co tylko znajdowało się w jego domu, ręką kata spalone zostało na placu kapituły. Wyrwano i zniszczono winnice w „Nowej Wsi" należące do jego beneficyum, i przez lat dwa rola leżała tam odłogiem, dom stał pustkami, otwarty na cztery wiatry. Biskup nietylko nie sprzeciwiał się tym gwałtom, ale nadto uważał je za zbawienną oznakę uczuć jakie obudziły w ludności zdrada i odstępstwo.

Po upływie lat dwóch dom Filipowicza, będący własnością kapituły, zamieniony został na seminaryum w którem kształcą się młodzi klerycy, a beneficyum jego posłużyło wczęści na uposażenie organisty katedralnego, a resztę przeznaczono na utrzymywanie ubogich seminarzystów. Na tę to pamiątkę, seminaryum zagrzebskie nosi po dziś dzień nazwę „Czarnej szkoły" (Czerna skola) a młodzi seminarzyści „Czerni skolci" (czarni uczniowie.) Za czasów Filipowicza liczba kanoników wynosiła 29, zmniejszono ją wówczas do 28 i tak już dotąd pozostało. Winnice zostały na nowo zasadzone w parafii „Nowa Wieś" jedna po dziśdzień nosi nazwę „Mehmet Vinograd" (winni ca Mehmeta.)

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Czytamy w „Biesiadzie Literackiej":

Prośba z Kaukazu do szanownego duchowieństwa katolickiego.

„Katolicy w Piatygorsku, na Kaukazie, posiadają kościół opatrzony we wszystko co potrzebnem jest do odprawiania nabożeństwa. Obok kościoła wznosi się wygodna plebania z pomieszczeniem dla zakrystyana, otoczona ogródkiem starannie pielęgnowanym. Jest wszystko co potrzeba do chwały Bożej, ale brak nam kapłana. Dla wysłuchania spowiedzi dojeżdża czasem ksiądz z Władykaukazu, ale chrzty, śluby i pogrzeby muszą albo odbywać się bez duchownego, albo są odkładane z miesiąca na miesiąc, niekiedy z roku na rok.

„Otóż błagamy duchownych polskich, błagamy o kapłana, coby nie lękając się stron oddalonych, chciał zamieszkać w Piatygorsku i karmić nas słowem Bożem którego tak łakniemy. Propozycya to z naszej strony może zaśmiała — chcieć wyrwać kogoś z ojczyzny na kraniec świata — ale my wierzymy w apostolską gorliwość naszego duchowieństwa. Rachując głównie na miłość i gorliwość, przedstawiamy i warunki materyalne.

„Mała nasza gromadka polska może zapewnić szanownemu proboszczowi 250 rs. rocznej pensyi i zwykłe dochody parafialne, co wystarczy na przyzwoite utrzymanie.

„Błagamy o z miłowanie się nad nami — niech przyjeżdża do nas duchowny młody czy staruszek, każdy znajdzie u nas gotową rodzinę; będziemy go kochać i szanować jak przewodnika w Chrystusie, jak rodaka który światło chrześciańskie duszom naszym przyniesie. Nie odmówcie nam swej pomocy!"

List ten kończy się prośbą do wszystkich redakcyj pism polskich o powtórzenie tej odezwy Polaków w Piatygorsku. Adres pod jakim pisać trzeba chcąc dowiedzieć się bliższych szczegółów, udzieli Redakcya „Biesiady Literackiej".

My dodamy, że może najpraktyczniej byłoby odnieść się do kapłanów polskich przebywających w Rossyi, zdaje się że niezawodnie znalazłby się między nimi taki któryby chętnie udał się do oddalonych rodaków, a odpowiednie władze zezwoliłyby zapewne na taką zmianę miejsca zamieszkania.

+ Przed parą tygodniami zmarł we Lwowie człowiek z ludu, który miłością kraju, cnotami obywatelskiemi i nieskazitelnym charakterem zjednał sobie powszechny szacunek w mieście i w kraju. Człowiekiem tym był August Skerl, przywódzca intellektualny lwowskiej młodzieży rzemieślniczej, twórca wszystkich jej pożytecznych stowarzyszeń, dusza i serce wszystkich szlachetniejszych objawów wyszłych z tego koła. Znane stowarzyszenie rękodzielników lwowskich p. n. „Gwiazdka", które zajęło tak pamiętną kartę w intellektualnem życiu

rzemieślniczej młodzieży lwowskiej, widziało zawsze w Skerlu jednego z najdzielniejszych swych kierowników. Ceniąc wielkie zasługi skromnego pracownika, dwudziesto-tysięczny tłum ludności wszystkich warstw towarzyszył pogrzebowemu pochodowi. Stowarzyszenia „Harmonii”, „Gwiazdy”, izraelskie „Jad Charizim” i „Straży ochotniczej,” wystąpiły w komplecie, a na trumnie złożono okazałe wieńce od Towarzystwa drukarzy lwowskich, „Ogniska”, „Gwiazdy”, młodzieży handlowej, oraz od redakcyi i drukarni „Gazety narodowej”, której zmarły był administratorem.

+ Wiktor hrabia Baworowski, magnat galicyjski, złożył formalną deklaracyę Wydziałowi krajowemu we Lwowie, iż cały swój ogromny majątek, 2,000,000 guldenów w posiadłościach ziemskich a przytem i znaczne kapitały ofiaruje na cele użytku publicznego, naukowe, artystyczne i humanitarne. Wydział krajowy przyjął z wdzięcznością wspaniałomyślną ofiarę hrabiego i zajął się przedsięwzięciem odpowiednich formalności. W donacyi tej hrabia położył warunek, aby wtedy dopiero weszła w wykonanie, gdy skutkiem składanych procentów pierwotna summa dojdzie do 20,000,000 guldenów. Jednakże warunek ten nie jest nieodwołalnym, a gdyby nawet testator go nie zmienił, to zawsze za parę dziesiątków lat ileż to pożytecznych zakładów powstanie z jego zapisu.

Nazajutrz po rozejściu się pogłoski o zapisie hr. Baworowskiego, pan Karol Belina Brzozowski, złożył znów w Wydziale krajowym galicyjskim 100,000 guldenów w listach zastawnych, jako kapitał żelazny nowej fundacyi.

Jakże piękny przykład miłości kraju i dobra ogółu dają ci szlachetni ofiarodawcy wszystkim „nieobcnym” wszystkim co skutkiem marnotrawstwa i próżniactwa morgę po mordze ojczystej ziemi i starych lasów sprzedają Niemcom!...

+ Centraliści austryaccy postanowili wznieść posąg Schiller'owi na jednym z publicznych placów Pragi Czeskiej; Czesi wszakże postanowili nie dopuścić tego, pojmując, że ma to być także środeczek utożsamienia ich z Niemcami... Poruszono tę kwestyę na jednem ze zgromadzeń, na którem dr. Dworski, prezes literackiego oddziału *Besedy umeleckiej*, w te słowa zakończył swoje przemówienie-

„Nie zaprzeczając bynajmniej Schiller'owi geniuszu, zrobić uwagę winienem, iż nasze dzieje tak są bogate, że moglibyśmy pomnikami naszych sławnych ludzi zapełnić wszystkie ulice Pragi, dziedzińce i rynki. A przytem, panowie, nie zapominajmy, iż w razie braku własnych znakomitości, znajdziemy Mickiewiczów i innych olbrzymów pobratymczych, którym chętnie i z dumą damy miejsce pomiędzy naszemi pomnikami!..

+ Wogóle dziś wszyscy znakomici doktorzy starają się pacyentom swoim jak najmniej zapisywać lekarstw, a mianowicie do środków uznanych za zbawienne nie dodawać innych, niby neutralnych, jednakże w połączeniu często szkodliwych, jak to bywało niegdyś, kiedy to zapisywano półłokciowe recepty. Zdarzają się jednak lekarze, którzy nadużywając zastosowań chemii do sztuki lekarskiej, przepisują nowomodne lekarstwa, których jedyną zaletą pyszna etykieta na pudełku czy flaszeczce, a które nadto mogą łatwo stać się niebezpiecznemi, jako wybuchające. Czytamy np. *Journal de pharmacie d'Alzace Loraine*: Jako środek wzmacniający i toniczny, zalecono mieszaninę z nadfosforanu wapnia, chloranu potasu i mleczanu żelaza. Każda z tych materyi oddzielnie wzięta, posiada niezaprzeczoną właściwą sobie wartość leczniczą; chloran potasu zwiększa apetyt, nadfosforan wapnia i mleczan żelaza są środkami wzmacniającemi— ale czem jest ich mieszanina?

Nadfsosforan bardzo chciwie łączy się z tlenem: wobec chloranu odgrywa taką samą rolę jak węgiel w obec saletry w prochu strzelniczym. Chloran ustępuje swego tlenu pierwszemu zwydzielaniem znacznej ilości ciepła, i lekarstwo zamienia się na proszek wybuchający. Oczywiście nie zawsze się to zdarza, dość często jednak miewa miejsce, więc ostrożność nie zawadzi. Często także przyrządzają roztwór z 4 grammów kwasu chromnego, bardzo silnego środka utleniającego, w 8 grammach gliceryny, materyi nader łatwo się utleniającej. Ma to być środek bardzo pożądany przy opatrywaniu ran — jednak łatwo bardzo może wybuchać, podobnie jak nitrogliceryna. Toż samo dzieje się i z innym środkiem przeciwgnilnym, używanym przy leczeniu ropiejących ran, a składającym się z chloranu potasu, gliceryny i chlorniku żelaza. Niedawno butelka zawierająca taki płyn, wybuchła w kieszeni pacyenta. Dalej chloran potasu z proszkiem katechu, używany bardzo często jako proszek do zębów, może spowodować wybuch w ustach, jeźli zęby nasucho czyszczone nim będą. Pigułki z tlenku srebra, przepisywane często w Anglii w chronicznych cierpieniach żołądka, zapaliły się w kieszeni niosącego i dość silnie go poparzyły. Niejednokrotnie także wybuchały, bądź podczas przygotowania, bądź u chorych, pigułki z nadmanganianu potasu, środka silnie utleniającego i ekstraktu krwawnika.

Z tego widzimy, iż bardzo zdarzyć się może, iż zamiast lekarstwa kupilibyśmy sobie bombę a przynajmniej fajerwerk. Należałoby więc unikać przepisywania i przygotowywania preparatów zawierających materye nader chciwie łączące się z tlenem, ponieważ mogą w nich powstać odczyny niebezpieczne i wywołać mniej więcej groźne wypadki.— („Przyroda i Przemysł”.)

+ Na posiedzeniu Brytańskiego Stowarzyszenia naukowego profesor Westwood odczytał sprawozdanie, w którem skreślił historyę owadów niszczących książki i druki.

Gąsiennice *Aglossa pinguinalis* i jednego z gatunków *Depressaria*, niszczą często książki przędąc siatki swoje między tomam, i zgryzając papier na robienie oprzędów. Mały pajączek *Chayletus eruditus* znajduje się niekiedy między książkami trzymanemi w miejscach wilgotnych, gryzie je i uszkadza. Maleńki chrząszczyk *Hypothenemus eruditus* wydrąża jakby wązkie korytarze w oprawie książek, a *Lepisma saccharina*, natrafiana w szufladach i kredensach z materyałami pokarmowemi, żywi się również papierem, jak przekonano się o tem na sztychu oprawnym pod szkłem, w którym papier biały był zgryziony, zaś miejsca pokryte farbą drukarską pozostały nietknięte. Tarakany także niszczą książki. Najwięcej jednak robią złęgo „kołatki” czyli „zegarki śmierci” (*Anobium pertinax* i *striatum*) gryzą bowiem i dziurawią nietylko okładki ale i samą książkę. Podają za przykład 27 tomów in folio na jednej stojących półce, tak mocno przedziurawionych przez gąsienicę kołatka, że można było przez otwór przewlec sznurek i podnieść na nim wszystkie tomy.

Owady te można zniszczyć za pomocą *waporyzacyi*. Uszkodzone książki umieszcza się w tym celu w dużej skrzyni, jak można najszczelniejszej, do której wstawia się miseczki z benzyną lub z gąbką napojoną kwasem karbolowym, i zamyka. Używano także z powodzeniem mocnego odwaru kolycyntów lub kwassyi, chloroformu, olejku terpentynowego, soku z zielonych łupin orzechów włoskich, kwasu drzewnego. Można także uciec się do okadzań na wielką skalę, napełniając bibliotekę parą siarki, kwasu pruskiego lub benzyny. Jeźli książkę nawiedzoną przez nieproszonych gości umieści się pod dzwonem machiny pneumatycznej, po godzinie próżni liszki żyć przestaną..

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy Ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Апрѣля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 17 r. 1881.

PEŁNOLETNOŚĆ PANNY BRIDOT,

PRZEZ

KAROLA DESLYS.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

— Cóż u licha! zawołał z żywością Jacquemart, czy sądzisz że jedynie szlachcic może mieć serce? Jestem tylko dziecięciem ludu, moi przodkowie nic nie posiadali i nie przekazali mi nic prócz rąk do pracy, moja biedna matka spoczywa pod skromną, zarosłą trawą mogiłą na cmentarzu Mont-Parnasse, ale ile razy zbliżam się do jej grobu, zdaje mi się że przychodzę do mej własności, i że ptaszki świergoczące na rosnącem drzewku, spiewają tylko dla mnie.

— Przebacz mi, przyjacielu, rzekł Raymund, ściskając go z uczuciem za rękę.

Po kilku minutach milczenia odezwał się znowu:

— Patrz, to ulica zarosła trawą, w której uczyłem się jeździć konno na moim poneyu, który nazywał się Trilby. Tam jest królikarnia gdzie strzelałem poraz pierwszy z małej fuzyjki.... tam znów mały pagórek, na którym zatrzymałem się odjeżdżając, chcąc pożegnać raz jeszcze spojrzeniem mój dach rodzinny... tu zaś, w tym żywopłocie był otwór którym wymykałem się pokryjomu, chcąc pobujać swobodnie. Jeszcze nie zarosł zupełnie... patrz tylko, możnaby przejść jeszcze!...

Mówiąc to odsunął gałęzie i przeszedł. Jacquemart przesunął się za nim niechętnie.

— Proszę cię, wróć się! zawołał. Przyrzekłeś matce, przyrzekłeś mnie także, iż nie pójdziesz tak daleko. Tymczasem jesteśmy już w parku a ty chcesz iść jeszcze dalej... Raymundzie! zatrzymaj się!

Napróżno wołał, Raymund nie słyszał go nawet. Upojony potęgą wspomnień i pięknością tak drogiej mu miejscowości, szedł, szedł ciągle naprzód, jak lunatyk nie zdający sobie sprawy ze swych czynności.

Przebiegł tak jedną stronę parku, zapuścił się w ciemną aleję lipową, doszedł do stawu, potem zwrócił się do gaiku z płaczących jesionów i wierzb, i ztamtąd nagle z oznakami najżywszego wzruszenia wbiegł na wzgórze panujące nad obszernym trawnikiem, który drugim końcem dosięgał do zamku.

Poważny ten budynek, wspaniały już sam przez się, wznosił się jeszcze w zachwycającej dolinie, między dwoma wysokiemi wzgórzami porosłemi gęstym lasem. Widok obszernych łąk urozmaicały kępy krzewów, porozrzucane wielkie drzewa, stawy, wytryskujące ze źródeł strumienie i małe kaskady.

W tę piękną noc letnią, pod niebem iskrzącem się gwiazdami, przy srebrnem świetle księżyca, widok tej odwiecznej pańskiej siedziby musiał na każdym wywrzeć silne wrażenie, a cóż dopiero na tym który jako wydziedziczony, spoglądał na nią załzawionem okiem wygnańca.

Pojmował to Jacquemart, jednak raz jeszcze usiłował odciągnąć Raymunda.

— Chodź, rzekł do niego, to zbyt piękne i zbyt godne żalu. Musisz bardzo cierpieć, Raymundzie... pocóż dobrowolnie zakrwawiać już i tak ciężką ranę?

Miał szłuszność. Raymund nie był już zdolnym powstrzymać wybuchu boleści, i zawołał ze łzami w oczach i głosie, z rękami konwulsyjnie zaciśniętemi:

— Bussiéres! Bussiéres! kolebko moja; Bussiéres w którym dziecinne lata upłynęły mi tak błogo... gdzie teraz, za każdym krokiem, budzą się w mym umyśle i przesuwają przed oczyma jak cienie, wszystkie nadzieje, radości i złudzenia moich lat młodzieńczych!... Tam, nad tą altaną oplecioną kapryfolium, okno mego pokoju, gdzie kołysany śpiewem słowika marzyłem tak słodko o przyszłości!... Tu zielona murawa, na której bawiłem się będąc jeszcze dziecięciem, gdy matka moja siedząc pod tym platanem, odrywała co chwila oczy od książki aby mnie ucałować, lub uśmiechnąć się do mnie... Tam, na tym progu, rzucałem się w jej objęcia za każdym razem gdy na wakacye wracałem do domu; za nią zaraz stał ojciec... Ah! mój ojcze, mój biedny ojcze! ciebie mi brak przedewszystkiem, i ciebie nadewszystko chciałbym widzieć jeszcze!

Łzy stłumiły głos jego, upadł na kolana i wyciągnął ręce jakby ujrzał drogi cień którego przyzywał do siebie.

Nagle jakaś postać zjawiła się przed nim, — była to Teresa.

Wróciła już dwie godziny temu, lecz nie mogąc zasnąć zeszła do parku, a posłyszawszy głos jakiś, zbliżyła się w tę stronę i słyszała wszystko.

— Panie, zapytała wzruszona, kimże pan jesteś?

— Pani, odpowiedział podnosząc się Raymund, zechciej mi przebaczyć że tu wszedłem... przeszłość usprawiedliwia mnie poniekąd... Ale cóż pani tu robi, sama, wśród nocy?

— Nie ma w tem nic dziwnego, ten park i ten zamek należy do mnie.

— Do pani! zechciej mi więc powiedzieć swoje nazwisko!

— Teresa Bridot.

— Ah!

— Moje nazwisko zdaje się wywierać na panu silne wrażenie... Czy mi pan nie powie swego?

— Jestem hrabia Raymund de Bussiéres, odpowiedział. Ukłonił się z bolesnym uśmiechem, i odszedł śpiesznie.

IV.

— A więc nie posiada pan stu tysięcy franków dochodu, panie Jacquemart, mówiła Teresa do artysty malującego jej portret.

— Nie posiadam i nie pragnę posiadać... bo znam dobrze moją naturę... gdybym je miał, zjadałbym tak wiele ciastek, że to stałoby się przyczyną mej śmierci w pierwszym zaraz roku.

Teresa rozśmiała się.

— Wybornie! zawołał Jacquemart, dlatego właśnie pozwoliłem sobie powiedzieć ten żarcik aby zobaczyć ząbki pani... Potrzeba mi koniecznie pani uśmiechu do mego arcydzieła... które może niem być tylko wtenczas jeżeli będzie zupełnie podobne do pani.

— Ho! ho! panie Jacquemart..... komplementa!

— Chciałbym przynajmniej tym sposobem wywdzięczyć się pani za jej uprzejmość i dobroć dla mnie. Po nagłej i niezrozumiałej dla mnie ucieczce z parku mego przyjaciela Raymunda, straciłem już zupełnie nadzieję aby mogło urzeczywistnić się kiedyś moje marzenie, abym mógł kiedyś odmalować portret pani.. tymczasem odebrałem zaraz nazajutrz bilecik wzywający mnie do zamku de Bussiéres wraz z płótnem i farbami. Nie zdołam opisać mej radości! Ale jakimże sposobem pani odgadła moje najgorętsze życzenie?... Czy też pani nie jest dobroczynną wróżką.. może ta laska z którą pani ukazuje się nad brzegiem morza, jest czarodziejską róższką?

— Znowu!

— To jedynie aby wywołać uśmiech po raz drugi. Dziękuję! Przybyłem co tchu do zamku, i tak mi w nim dobrze jak w raju... dlatego też uprzedzam panią że portret nie prędko będzie skończony. Ale żeby pani nie nudziła się bardzo, będę opowiadał różne historye.

— Chętnie zgadzam się na to, odpowiedziała Teresa starając się ukryć żywe zadowolnienie, a na początek niech mi pan opowie historyę swego życia.

— O! nie będzie w niej nic wesołego ani też zajmującego. W pierwszych latach mego życia byłem w całem znaczeniu tego słowa ulicznikiem paryzkim, a Bogu tylko wiadomo jakim sposobem wyrosłem na malarza. Pierwsze próbki mego talentu zdobiły ściany kamienic Paryża; później, aby nabrać wprawy w kolorycie, malowałem olejno wystawki sklepowe... a następnie piąc się coraz wyżej, odważyłem się na szyldy, przedstawiające naprzykład: pasztet z wystającą nad nim głową kaczki, karpia otoczonego węgorzem, butelkę musującego piwa, półmisek raków i wiele innych podobnych rzeczy. Dobre to były czasy! można było jeść codzień. Na nieszczęście licho mnie skusiło i zapragnąłem zostać artystą. Oj! oj! jakąż to ciężką musiałem przebyć walkę! Nie miałbym odwagi rozpocząć jej powtórnie. Nie łatwo znaleźć takiego przyjaciela jak Raymund.

— Ah! odezwała się z żywością Teresa, więc pan Raymund oddał panu tak znakomite przysługi?

— Przysługi! Zawdzięczam mu więcej niż gdyby mi uratował życie! Jemu winien jestem to wszystko czem jestem obecnie, i czem jeszcze zostać mogę. To złote serce, przyjaciel jakiego długo szukać trzeba! Jeżli pozwalam sobie nazwać go przyjacielem, to nie dlatego że umiał zniżyć się do mnie, lecz raczej że potrafił podnieść mnie do siebie. Wszystko mu jestem winien; tę trochę wykształcenia które posiadam obecnie, poczucie osobistej godności, talent.. bo posiadam go, daję na to słowo!... A jaka szlachetność!.. jaka delikatność!— O! bo trzeba wiedzieć że Raymund jest zarazem wielkim panem i wielkim artystą. Dzieje życia jego mogłyby panią zająć, to zupełnie jakby jakiś wzruszający romans.

— Czy tak? odezwała się Teresa z udaną obojętnością. Bardzo lubię czytać romanse. Niechże mi pan opowie ten którego bohaterem jest przyjaciel pana.

— Jak najchętniej; tem więcej że nie mogę powiedzieć nic takiego co nieprzynosiłoby mu zaszczytu. Ale dla wynagrodzenia mnie, trzeba być grzeczną, i nie zmieniać pozy, jak to pani właśnie uczyniła. Pani pozwoli że poprawię rączkę. Ale ktoś idzie, może nam przeszkodzi?

Weszła pani Vauquelin, a za nią, czyli raczej

przed nią wbiegł duży pudel i położył się u nóg Teresy.

— Brawo! zawołał Jacquemart, oto akcessoryum którego brakowało mi właśnie. Czy pani pozwoli abym go umieścił na obrazie, w miejscu które sam wybrał sobie?

Teresa skinęła twierdząco głową, a potem odezwała się patrząc na psa.

— Czy słyszysz, mój biedny Bobie, musisz także pozować, i to bez żadnej nagrody, bo nie zrozumiesz opowiadania pana Jacquemart.

— A! odezwała się Henryeta, pan Jacquemart opowiada?...

— Równie zajmująco jak Secherezada, sułtanka z *Tysiąca i jednej nocy*. Usiądź tylko i posłuchaj, mateczko.

Mówiąc to ucałowała ją pieszczotliwie, pomimo że nie mogła ukryć pewnego niezadowolnienia gdy pani Vauquelin weszła. Ale Teresa umiała zapanować nad położeniem i nie powstrzymywały jej przeszkody. Sprawiało jej to nawet jakąś gorzką przyjemność, że w obecności żony opiekuna słuchać będzie tego tak drażliwego dla niej opowiadania, które wywołała sama.

— Pozwoli pani że przed zaczęciem rzucę jedno spojrzenie na całość.

Odsłonił trochę firankę, przyćmiewającą światło, a potem zwracając się do Teresy zawołał:

— Przepyszne! nigdy Lawrence, nigdy Dubuffe, nigdy Winterhalter nie mieli szczęścia odtworzyć nic podobnego!

Miał słuszność, Teresa była ubrana trochę fantastycznie, ale bardzo gustownie, w jej sukni, kolor ciemno fioletowy łączył się harmonijnie z kolorem jasno lila, aksamit z atłasem, atłas z kaszmirem. Skórzany pasek wysadzany pirytem, obciskał jej wysmukłą i pięknie utoczoną kibić. Zgrabny toczek z białemi piórami przystrajał jej śliczną główkę. Wśród tego salonu umeblowanego w guście siedmnastego wieku, z tym psem leżącym przy jej nogach i z wachlarzem w ręku, można ją było wziąść za jedną z tych pięknych wspólniczek Frondy, na które Ludwik XIV, będąc jeszcze dzieckiem, tak lubił patrzeć gdy się przechadzały po cienistych ulicach ogrodu przy pałacu Mazarin.

— Raz! dwa! trzy! powiedział Jacquemart, zaczynam malować i opowiadać. Hę! hę!...

— Czekamy, powiedziała Teresa, niechże pan mówi... Był pewien...

— Niech i tak będzie!.. Był niegdyś młody książę, czyli raczej, aby nic nie przesadzać, młody wice-hrabia, nazwiskiem Raymund de Bussiées.

Henryeta podniosła z żywością głowę; Teresa chwyciła ją za rękę i zwróciła ku niej wzrok, którego boleśny i błagający wyraz dowodził że nie szuka w tem opowiadaniu rozrywki.

— O! pozwól mu mówić, szepnęła z żywością, dozwól mi dowiedzieć się o wszystkiem... proszę cię o to... chcę tego!

Pani Vauquelin widząc nagłą zmianę jej twarzy, uścisnęła tylko jej rękę i rzekła cicho:

— Bądź przynajmniej ostrożną!

Jacquemart dostrzegł to poruszenie, ale nie domyślił się prawdy, i nadał mu zupełnie inne znaczenie.

— Bussiéres, to także nazwisko tego zamku, ale skoro już przestał być własnością Raymunda, nie mógł przejść w godniejsze ręce nad ręce pani. On sam powiedział to do mnie, gdy żegnałem się z nim śpiesząc na wezwanie pani.

— Mów pan dalej, rzekła Teresa zmuszając się do uśmiechu, słuchamy pana.

Artysta nie potrzebował aby go zachęcano tak bardzo, zaczął też opowiadać dalej:

— Nasz wice-hrabia miał lat dwadzieścia trzy, posiadał wszystkie przymioty cechujące prawdziwego szlachcica, i wiódł życie odpowiednie dla przyszłego milionera. Sądził że ojciec jego jest bardzo bogatym, i rzeczywiście hrabia de Bussiéres odziedziczył po przodkach prawdziwie książęcy majątek. Jakkolwiek żył bardzo wystawnie i starał się podnieść za pomocą spekulacyi trochę nadwerężony zbytkownem utrzymaniem majątek, nic nie dozwalało domyślać się że jest w złych interesach, a tem więcej że stracił wszystko. Żył jak dawniej i nie odmawiał nic synowi. Raymund był więc królem eleganckiej młodzieży i prowadził bezczynne życie, a szkoda, bo nietylko jeździł konno jak Baucher, i fechtował się jak Desbarolles, ale także miał zamiłowanie do sztuk pięknych, a zwłaszcza do malarstwa, do którego sam posiadał niezwykłe zdolności, i nie oddawał mu się jedynie dlatego że niedorzeczny przesąd niedozwalał mu zajmować się niczem podobnem do pracy. Nagle wśród niezamąconego dotąd szczęścia i spokoju, spada na niego, jakby z pogodnego nieba, grom nieprzewidziany, straszny... Ukochany ojciec jego odebrał sobie życie w domu starego złoczyńcy, lichwiarza i podstępnego bankruta, który mu wydarł majątek i tym sposobem stał się jego katem... Co pani jest? Pani tak zbladła!

— Ja?... nie, nic mi nie jest! Opowiadanie pana zajmuje mnie bardzo... Niech pan mówi dalej... sprawi mi pan przyjemność.

Mówiąc to uspakajała wzrokiem Henryetę, która chciała przerwać opowiadanie artysty.

— Ruina majątkowa była zupełna, więcej niżeli zupełna bo pozostały jeszcze długi przeszło dwa czy też trzykroć sto tysięcy franków, o ile mi się zdaje, bo te wysokie sumy nie chcą pomieścić się w głowie nam, biednym od urodzenia, dla których bilet na tysiąc franków stanowi już znaczny kapitał. Matka Raymunda, święta i mężna niewiasta, posiadała posag wyrównywający tej sumie; zapytała syna co ma czynić. „Ocalić honor mego ojca, zapłacić,“ odpowiedział. Hrabina de Bussiéres przedstawiła mu naówczas że prawo bynajmniej nie zmusza jej do tego, że długi te były zaciągnięte bez jej wiadomości, że nic im już nie zostanie, a może nawet nie spłacą jeszcze wszystkich dłużników. Raymund odpowiadał ciągle: „Zapłaćmy, matko, zapłaćmy co można.“ Wtenczas widząc że to jest jego niezłomne postanowienie, rzekła: „Podzielam w zupełności twoje przekonanie chciałam tylko abyś spełnił swój obowiązek z zupełną świadomością. Jestem dumną z ciebie, mój synu; idź, oddaj wszystko co posiadamy.“ I poświęcenie zostało spełnione, tak jak gdyby to była rzecz najprostsza w świecie. O! bo trzeba pani wiedzieć że dla rodziny de Bussiéres nie dosyć jest być szlachetnie urodzonym, oni chcą być jeszcze uczciwymi ludźmi... Przepraszam, pani odwróciła głowę i nie widzę już oczu.

— Rzeczywiście, zdajesz się bardzo znużoną Te reso, odezwała się Henryeta.

— Bynajmniej; zresztą muszę dotrzymać panu Jacquemart obietnicy..... Mówił pan że spłacił wszystkie długi...

— Niestety! nie wszystkie; posag pani de Bussiéres nie wystarczył, pozostało jeszcze do spłacenia blizko sto tysięcy; Raymund musiał przyjąć te długi na siebie, ale honor ojca został ocalony, a wdowa po nim i syn jego mogli chodzić z podniesionem czołem. Nieszczęściem, jakkolwiek cnota jest piękną i świętą, nie można nią zaspokoić głodu, trzeba było zapłacić za ubogie mieszkanko. Raymund powiedział sobie: „Będę pracował“. Sądził że mu to przyjdzie łatwo; rachował na swoje wykształcenie, na przyjaciół, na oddane im dawniej przysługi. Biedny, zapomniał o tej starej jak świat niewdzięczności ludzkiej. Jedni udali że go nie poznają lub odmawiali mu bez ceremonii; wszakże był ubogim, nie potrzebowali się żenować! Inni postępowali gorzej jeszcze łudząc go fałszywemi nadziejami, przez co tracił na bezużyteczne starania czas któren mógłby zużytkować korzystniej. Był i taki który uniósł się gniewem i nazwał go niewdzięcznikiem, fałszywym przyjacielem, za to że nie udał się najprzód do niego, a później nawet nie pomyślał o nim. Biedny Raymund! los jego był zupełnie podobnym do losu Tymona z Aten!

— Jednak, odezwała się żartobliwie Teresa, chcąc tym sposobem pokryć wzruszenie, nie został jak on odludkiem i nie zamieszkał w jaskini...

— Nie, pani; odpowiedział poważnie malarz, potrzebował opiekować się matką i pracować na jej utrzymanie, a może mi pani wierzyć że był to obowiązek trudny do spełnienia. Napróżno usiłował znaleźć jakiebądź miejsce. Tu odpowiadano mu że jest za młody, tam że nie dość młody, a w innem znów miejscu żądano kaucyi. Słowem same upokorzenia, zawody, gorycze, o których nie może pani mieć wyobrażenia.

— O! przeciwnie, zawołała Teresa wzruszonym głosem, pojmuję dobrze ile on przecierpiéć musiał!

— Ale i ty także cierpisz obecnie, drogie moje dziecię, odezwała się Henryeta, i...

— Nie przeczę temu, ale to nic nie szkodzi, odpowiedziała Teresa. Dobrze jest abyśmy także, my pieściochy losu, dowiedzieli się jakie on na niektóre osoby zsyła niezasłużone katusze. To co słyszałam wzruszyło mnie silnie, ale mam nadzieję, że będzie to dla mnie pożytecznem. Proszę więc panie Jacquemart, mów pan dalej.

— Pewnego dnia, Raymund, w ubraniu dobrze już zniszczonem, głodny, bez grosza w kieszeni, przechadzał się smutny i zamyślony na Polach Elizejskich. Przed ujeżdżalnią Cremieux'go stało dużo osób przypatrujących się czemuś ciekawie; podniósł głowę, zbliżył się do nich i zobaczył że przedmiotem ich uwagi był ognisty koń czystej krwi, który nie pozwalał nikomu wsiąść na siebie. Zrzucił czterech jeźdźców, i nikt już nie śmiał zbliżyć się do niego. Raymund uśmiechnął się, poznał swego ulubionego konia. Przysunął się do niego i położył mu rękę na szyi. Zmyślne zwierzę poznało także pana i zarżało radośnie. Była to pierwsza oznaka przyjaźni jaką Raymund otrzymał odkąd był ubogim, było to także jakby przypomnienie jego świetnej przeszłości. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, wsiadł na konia; jeździł stępa, kłusował, galopował, a koń zdawał się spokojny i posłuszny jak baranek. Skoro zsiadł obsypano go rzęsistemi oklaskami. Cremieux zaproponował mu miejsce u siebie... miejsce prawie masztalerza! Cóż to znaczy? będzie mógł przynajmniej zapewnić matce najniezbędniejsze potrzeby życia!... Ale pani zmieniła znów pozycyę rączki!... jeżeli dla otarcia łez, to niech się pani z tem nie kryje, wszakże błyszczą i w moich oczach... A! jaki też jestem nierozważny! miałem panią zabawiać mojem opowiadaniem, a tymczasem płaczemy we troje; co mówię! we czworo... bo i Bob także jest wzruszony.... zdaje się żałować że nie ma chustki od nosa!

Henryeta chciała korzystając z tej sposobności, przerwać rozmowę i posiedzenie.

— Nie, nie, zawołała Teresa, opowiadanie jeszcze nieskończone, a ja chcę wiedzieć wszystko. Zresztą zdaje mi się że pan Jacquemart jest dziś w wybornem usposobieniu... Wszak prawda, panie Jacquemart?

— Z pewnością, pani. Światło wyborne... twarz ożywiona... Nigdy jeszcze nie czułem w sobie tyle zapału, jeżeli nie do opowiadania, to do malowania.

— Niech więc pan maluje i opowiada nam dalej... Stanął pan na tem że przyjaciel pana przyjął miejsce u pana Cremieux. Czy przynajmniej nie był tam bardzo nieszczęśliwym?

— Nie i tak. Nie, gdyż zwierzchnik jego był dobrym i uczciwym człowiekiem. Tak, bo tam bywało wielu lwów salonowych którzy go poznawali... a pomimo całej rezygnacyi, było to dla niego ciężkie do zniesienia, upokarzające. Najgorsi byli dawni przyjaciele, którzy mówili do niego z protekcyjną miną: „Ale czemu też nie zgłosiłeś się do nas?“ Znał ich już teraz dobrze, i nie chciał nawet myśléć o tem; przekładał nad nich wszystkich swego zacnego zwierzchnika, który wkrótce dał mu odpowiedniejszą posadę w swojem biórze. Znajdowały się tam cztery niewielkie obrazy przedstawiające sławne konie. „Zapłaciłem za nie drogo, rzekł raz do niego Cremieux; niepodpisane to, ale bardzo ładne; podobają się ogólnie i nieraz już chciano odkupić je ode mnie.... malarz ma przed sobą wielką przyszłość.“ Raymund był prawdziwie zdumiony; poznał w tych obrazach swoje własne dzieła. Jednocześnie była to dla niego wskazówka jaką ma obrać drogę. Zostać artystą, znaczyło to podźwignąć się, odzyskać właściwe sobie stanowisko, może nawet zdobyć majątek i sławę. Nie zwlekając zabrał się do pracy, ale nie porzucił swej skromnej posady, zapewniającej mu wraz z matką jakie takie utrzymanie. Wstawał równo ze świtem i malował, a potem udawał się do bióra. Następnego roku już tylko wieczorem chodził do pana Cremieux, a całe dnie przepędzał w pracowni jednego z najsławniejszych naszych malarzy. Czynił zdumiewające postępy, nigdy nie widziano równego poczucia piękna, równego zapału i równie silnej woli. Otworzono Wystawę, obrazy jego zachwycały wszystkich, a nazwisko jego przechodziło z ust do ust. Odtąd zaczęły sypać się na niego ordery, medale a nakoniec otrzymał krzyż Legii honorowej. Raymund został jednym z naszych najznakomitszych malarzy i dziś zarabia przeszło czterdzieści tysięcy rocznie.

— A więc, zawołała Teresa, odetchnąwszy swobodniej, a więc jest teraz bogatym!

— O! tego nie można powiedzieć, odrzekł Jacquemart; dochody jego dopiero od dwóch lat podniosły się tak znacznie, a jak pani wiadomo, przejął na siebie pewną część długów i dotąd jeszcze nie mógł spłacić wszystkich. Podpisuje się też ciągle Raymund, bo przysiągł sobie że nie będzie używał nazwiska i tytułu ojca, dopóki nie zapłaci wszystkich jego długów.

— A zanim to nastąpi?

— Będzie prowadził życie równie oszczędne i pracowite jak dotąd. Mieszkanie jego jest bardzo skromne, ale urządzone z gustem i odznaczające się wzorową czystością, dzięki staraniom jego matki; bo zapomniałem powiedzieć że mieszka razem z matką.

— A! więc pani de Bussiéres jeszcze żyje?

— Tak, pani. Jest to prawdziwa matka spartańska. Nie chciała długo zezwolić aby przyjęli służącą; w ciągu ciężkich dni haftowała i szyła za pieniądze, i to często aż do północy. Napróżno syn prosił aby tego nie czyniła; ukrywała się przed nim. Nakoniec pewnego dnia zszedł ją niespodzianie gdy zamiatała mieszkanie jednej z sąsiadek; ona kobieta już w wieku, hrabina, przyzwyczajona od dziecka do licznej służby!... i to aby zarobić dziesięć franków miesięcznie. Nędza, to rodzaj walki, ci którzy wychodzą z niej zwycięzko, są prawdziwymi bohaterami! Matka ta warta mieć takiego syna, a syn taką matkę! Zachorowała sześć miesięcy temu; trzeba było widzieć jak troskliwie ją pielęgnował, w czem, mogę się pochwalić, dopomagałem mu także. Następnie, skoro nadeszła wiosna a ona była już znacznie lepiej, doktór zalecił jej wiejskie powietrze, powietrze jej stron rodzinnych. Pani de Bussières przyjęła tę radę lekarza z uniesieniem radości, już od ośmiu lat nie widziała tych pól, łąk i lasów wśród których wzrastała, wśród których była szczęśliwa. Z tego to powodu właśnie przybyliśmy tu wszyscy.

— Jakto! zawołała Teresa, pani de Bussiéres tu się znajduje?

— Przynajmniej niedaleko, odpowiedział Jacquemart, u jednego ze swych dawniejszych fermierów, nazwiskiem Bouquaille.

— Bouquaille! powtórzyła Teresa, czyż to nie będzie czasem ten człowiek którego spotkałyśmy już kilka razy, i którego twarz groźna i pełne nienawiści spojrzenie, zwróciły naszą uwagę?

— Nie, to nie może być on, powiedział Jacquemart. Jest to człowiek bardzo poczciwy, silny jak wół, ale łagodny jak baranek... pomimo że i on także ucierpiał wiele, i to z powodu tego samego nikczemnika który wydarł majątek hrabiemu de Bussiéres.

— A! szepnęła panna Bridot, jeszcze jeden!...

— Mieszka w małej fermie dotykającej do stawu Mont-Saint-Jean, mówił dalej malarz. Przepyszne to miejsce! Były tam niezajęte pokoje i Raymund kazał je urządzić dla matki i dla nas. Dobra, nieoceniona pani de Bussiéres jest teraz szczęśliwa, ale też nie wymaga wiele. Cieszy się że oddycha powietrzem którem się napawała w młodości; że może patrzyć na drogie jej zawsze miejsca; pomodlić się w starym kościołku, w którym przystępowała do pierwszej Kommunii. Dodajmy do tego pełne szacunku oznaki przywiązania kilku dawnych służących, przechadzki w towarzystwie syna, niezbyt dowcipne żarciki jego przyjaciela Jaquemart'a oto wszystko co jej teraz potrzeba! Chciała raz zobaczyć ten pałac, ale tylko zdaleka, i łzy zaćmiły wtenczas jej oczy; dla tego to następnie wymogła na synu obietnicę, że nie tylko nie wejdzie do niego, ale nie będzie się starał widzieć go zblika, i trzeba było jakiegoś dziwnego upojenia wywołanego wspomnieniami, aby zapomniał o swem przyrzeczeniu. Z pewnością gdyby tu w miejsce pani spotkał tego który dobra wydarł zdradliwie jego ojcu, a następnie jak widać, odprzedał komuś z pani rodziny...

Opowiadanie stało się zbyt drażliwem, i Teresa przerwała je śpiesznie. Już przez parę minut wpatrywała się bystro w opowiadającego, jakby chciała się upewnić że mówi to nierozmyślnie, przez niewiadomość.

— Ale! zawołała, jakże się nazywał ten wydzierca; czy pan nie pytał o to nigdy przyjaciela, lub też jego matki?

— A jakże; jestem ciekawy jak orangutang, odpowiedział Jacquemart z taką swobodą że niepodobna było posądzać go dłużej.

— I cóż, zapytała Teresa z pewnym odcieniem goryczy, nie chcieli panu wymienić jego nazwiska? Bardzo to wspaniałomyślnie z ich strony.

— A jednak uczynili więcej jeszcze. Raymund odpowiedział mi: „Zapomniałem.“ A matka jego, uścisnęła z czułością jego rękę mówiąc: „Dobrze, mój synu!“

Teresa byłaby się może zdradziła, ale szczęściem posłyszano turkot powozu wjeżdżającego na dziedziniec.

— To Paweł! to mój mąż! zawołała Henryeta.

Teresa wstała, i rzekła zwracając się do malarza:

— Dość już na dziś, panie Jacquemart. Wracam panu wolność... Do jutra.

Ukłoniła mu się uprzejmie i wyszła za panią Vauquelin.

— Pomówimy teraz z sobą, mój drogi opiekunie, szepnęła dziwnie stanowczym głosem.

V.

Wejdźmy teraz do gabinetu w którym Paweł Vauquelin pracował zwykle w czasie swego pobytu w Bussiéres.

Teresa chciała zaraz po przywitaniu przystąpić do tak bolesnego dla niej przedmiotu, ale opiekun nie dozwolił jej na to.

— Pozwól mi pierwej uściskać żonę i ciebie także, moje drogie dziecię. No, no, widzę że chcesz mówić ze mną o czemś ważnem... ale trzeba pierwej zadowolnić wymagania serca... Wszakże widuję was tak rzadko... Muszę najprzod nacieszyć się z wami, odpocząć. Wyobraźcie sobie że jestem poczciwym mieszczaninem przybywającym prosto ze swego sklepu do swej willi, z melonem w ręku, tylko że ja zamiast melona przywiozłem ci, Tereso, to pudełeczko... w którem znajdują się wszystkie twoje brylanty. A! może przecie wynagrodzisz mnie za to uśmiechem... Jakto! jeszcze nie!... Ho! ho! musi to być coś ważniejszego niżeli sądziłem.

Mówił to wszystko wesoło, żartobliwie, ale z wyrazem prawdziwie rodzicielskiego przywiązania. Pomimo że liczył już blizko pięćdziesiąt lat, zachował jeszcze świeżość uczuć i młodość serca.

— Napróżno, mówił dalej z uśmiechem, przybierasz postawę obrażonej kapłanki, moja piękna Velledo, chcę najpierwej napatrzyć się na was do woli. Nie! nie dam ci posłuchania dopóki nie rozmarszczysz czoła, i zachowasz majestatyczną postawę Hippokratesa odrzucającego dary Artakserksesa. Nie chcesz wziąść tego pudełeczka? Niech i tak będzie; otworzę je sam. Jaki blask! jaka gustowna oprawa! Czy zapomniałaś że za dwa tygodnie wydajemy tu wielki bal, z powodu twego dojścia do pełnoletności, i że ulegając twym usilnym prośbom, zgodziłem się abyś w tym dniu wyjątkowo ubrała się w te brylanty i perły, jako potrzebne do uzupełnienia twego kostiumu, w którym masz przedstawić *poranną rosę*. Henryeto, ubierz ją w ten naszyjnik, dyadem, kolczyki, może czoło jej wypogodzi się trochę.

Henryeta dawała mu znaki aby przestał żartować, ale on nie domyślając się niczego mówił dalej:

— Tak, tak, odgaduję że ją spotkało jakieś ciężkie zmartwienie, że musiała wyrzec się jakiejś fantazyi, i to doprowadza ją do rozpaczy; ale dla pocieszenia jej gotów jestem dokonać nawet niemożliwych rzeczy; tylko ja także miewam fantazye, i jako opiekun równie okrutny jak Bartolo lub Geront, wymagam aby choć raz w życiu spełniła moją wolę.

Teresa zawsze smutna i poważna, wzięła z rąk jego brylanty i włożyła je na siebie.

— A więc ją spełniam, rzekła zboleśnym uśmiechem; a teraz zechciej mnie posłuchać. Wypadek, czyli raczej zrządzenie Opatrzności, dozwoliło mi dowiedzieć się o nieszczęściach hrabiny de Bussiéres i syna jej. A! przekonałeś się teraz, mój drogi opiekunie, że nie idzie tu o rzecz błahą... Ta wiadomość zakrwawiła mi serce, ale zarazem otworzyła mi oczy. Od dawna już domyślałam się czegoś podobnego, czułam w koło siebie jakąś tajoną niechęć; czułam że jakieś nieszczęście unosi się nad moją głową... Lecz nie przypuszczałam nigdy aby majątek mój był zebrany kosztem tylu łez, tylu nieszczęść... O! nie, tego nie domyślałam się nigdy! To czego dowiedziałam się o panu de Bussiéres dozwoliło mi odgadnąć resztę; Henryeta słyszała opowiadanie, więc może powtórzyć ci wszystko. Jesteś moim opiekunem, majątek mój znajduje się w twoim ręku... Daj mi pieniędzy... dużo pieniędzy... potrzebuję ich koniecznie!....

— Tereso, moje drogie dziecię, odezwał się Vauquelin zmieszany tem co usłyszał, nigdy ci nic nie odmawiałem, lecz...

— O! nie opieraj się memu żądaniu, zawołała. Potrzebuję mieć sto tysięcy, dwieście tysięcy franków, może więcej... i to natychmiast, dziś jeszcze! Co do reszty, pomówimy o tem wkrótce, i wszystko co nie pochodzi z czystego, uczciwego źródła, zwrócę, choćby mi przyszło potem pracować ciężko na kawałek chleba, nawet żebrać.

— Otóż to właśnie czego jeszcze chciałem uniknąć, czego obawiałem się ciągle...

— Cóż mogło być powodem tej obawy?

— Czy przypominasz sobie ten dzień, Tereso, w którym zobaczyłem cię po raz pierwszy? Nie chciałem przyjąć nad tobą opieki, ponieważ wkładała na mnie obowiązki niezgodne z uczciwością... tak, nie chciałem... Ale pozostałaś sama na świecie, wyciągnęłaś do mnie ręce, błagałaś wzywając w imię Henryety abym cię nie opuszczał... i stłumiłem głos mego sumienia! Przypomnij sobie także ostatnie moje słowa do twego umierającego ojca. Radziłem mu, wymagałem nawet aby zwrócił niesłusznie przywłaszczone pieniądze...

— A więc czemuż, przerwała, czemu nie uczyniłeś sam tego następnie? Dla czego teraz...

Ale on znów nie dozwolił jej dokończyć, i zawołał:

— Bo nie miałem do tego prawa, Tereso. Za piętnaście dni dojdziesz do pełnoletności, wtenczas będzie ci już wolno rozporządzać samej swoim majątkiem, a mnie dokończyć z tobą rozmowę przerwaną przez śmierć pana Bridot. Przed tem nie mogę i nie chcę zapominać że jestem twoim opiekunem, i że jest moim obowiązkiem zwrócić ci majątek nienaruszony... Następnie zobaczymy co czynić wypada! Bądź więc cierpliwą jeszcze przez piętnaście dni, Tereso... Tak zresztą być musi... bo powtarzam ci raz jeszcze że przedtem, pomimo mego przywiązania do ciebie, pomimo wzruszenia jakiem mnie przejmuje twoje szlachetne postanowienie, pomimo twoich próśb a nawet łez, pozostanę niewzruszonym, ponieważ mi to nakazuje honor, ponieważ wymagają tego przepisy prawa, ponieważ jest to moim obowiązkiem.

Z głosu, z wyrazu jego twarzy łatwo było odgadnąć że był dumnym ze swej przybranej córki, że czułby się szczęśliwym gdyby mógł spełnić jej żądanie. Serce jego przemawiało za nią, ale sumienie nakazywało spełnić ściśle obowiązki opiekuna.

Henryeta, jakkolwiek silnie wzruszona, usiłowała uspokoić Teresę, która jednak nie słuchając jej zawołała:

— Mówisz o swoich obowiązkach, mój opiekunie, a zapominasz o moim! Nie rozumiem tych subtelności prawnych; jedynym dla mnie prawem jest głos sumienia i serca, a ten woła na mnie głośno że nie powinnam, nie mogę, pozostawić jeszcze przez piętnaście dni w nędzy, ludzi, którzy przywiedzeni do rozpaczy przeklinają mnie, lub też znosząc z bohaterskiem męztwem niezasłużone ubóstwo, obdarzają mnie pogardliwem przebaczeniem. Czekali już nazbyt długo dawni właściciele tego zamku!.. i wszyscy inni!.. O! mój ojcze, mój ojcze, czemuż naraziłeś mnie na to? Kilka dni temu, niedaleko ztąd, człowiek nazwiskiem Bouquaille, znieważył mnie obelżywemi wyrzutami. Dawniej, w Paryżu, w naszym domu, jeden z gości powiedział: „Lepiej byłoby dla niej umrzeć lub być zupełnie biedną, niżeli nazywać się panną Bridot!“ Usłyszałam to przypadkiem, ale nie zrozumiałam... potem nieraz spotykałam surowe lub niechętne spojrzenia, ale brałam je za objawy zazdrości, i szłam dalej dumna, pogardliwa, otoczona zbytkiem, jakbym się urągała z tych nieszczęśliwych!... I miałabym jeszcze przez piętnaście dni nosić te kosztowne suknie, w których szeleście za każdem mojem poruszeniem, słyszę teraz jęki!... te koronki kupione za pieniądze biednych! te kosztowności, dla posiadania których trzeba było wydrzeć innym ostatni kawałek chleba!... te brylanty w których widzę łzy wszystkich!....

Teresa mówiła to chodząc szybko po pokoju. Pomimowolnie zbliżyła się do lustra i zobaczyła brylanty zdobiące jej głowę i szyję.

— A! zawołała zrywając je z siebie, palą mnie jak rozżarzone węgle!.. Nie chcę ich, nie chcę!

Zamierzała już rzucić je na ziemię kiedy zatrzymał ją Vauquelin, i rzekł poważnie z głębokiem wzruszeniem:

— Cicho, Tereso! nie pozwalaj sobie oskarżać ojca!... albowiem byłaś główną podnietą do wszelkich jego nieszlachetnych postępków...

— Ja!

— Pobłądził... tak, pobłądził ciężko... ale popchnęło go do tego szalone do ciebie przywiązanie... Jestem tego pewnym, powiedział mi to sam przed śmiercią; a ta jakaś dziwna dobroduszność z jaką dopuszczał się złego, pragnienie zapewnienia ci szczęścia za jakąbądź cenę, tak mnie wzruszyło pomimowolnie, że na chwilę znikł mi z przed oczu człowiek występny, a pozostał tylko ojciec. Nie znieważaj go więc, Tereso! nie złorzecz jego cieniom, bo jeżeli dla innych jest to nienawistne i zgubne widmo, ty, moje dziecię, powinnaś widzieć w nim tylko biedną, zbłąkaną duszę, zepchniętą z prawej drogi przez szalone, nie znające żadnych granic uczucie. Podnieś więc te brylanty i schowaj je... jest to dar od kochającego cię ojca!

Teresa wzruszona głęboko jego słowami, uklękła. Większa część brylantów pozostała w jej ręku, naszyjnik tylko upadł na ziemię. Podnosząc go wzniosła ku niebu swe wielkie, czarne oczy, jakby błagała o przebaczenie.

Nagle zadrżała; zdawało się że jakiś cień niewidzialny odpowiadając na jej niemą prośbę podsunął jej jakąś myśl szczęśliwą, bo załzawione jej oczy żywszym błysnęły ogniem, po ustach przesunął się uśmiech, i zawołała radośnie z wyrazem najgłębszej wdzięczności:

— Ah! te brylanty!... dziękuję ci za nie, ojcze! dziękuję ci że mi wskazałeś co mam z niemi uczynić.

— Tereso! zawołali jednocześnie państwo Vauquelin, co ty mówisz?

Spojrzała na nich z czarującym uśmiechem.

— O! to już nie zależy wcale od ciebie, mój szanowny panie opiekunie, odpowiedziała. Wszakże te brylanty należą do mnie, są moją niezaprzeczoną własnością i mogę...

— Cicho, dziecko, przerwał Vauquelin, który odgadł jej zamiary i pochwalał w duszy, cicho, nie mów nic! Opiekun nic nie powinien wiedzieć... gdyż byłby zmuszonym nie dozwolić... Szczęściem nic nie słyszałem i nie domyślam się niczego.

Zbliżył się do niej i przycisnął do piersi z wyrazem dumy i radości.

— Moje dziecię! zawołał, moja córko!.. O! tak... tak... byłbym szczęśliwym gdybyś była moją córką!

Usłyszano turkot zajeżdżających powozów.

— To nasi znajomi z Trouville przyjechali, rzekł Vauquelin; jadąc tu zaprosiłem wszystkich twych wielbicieli, wszystkich ubiegających się o twoją rękę. Nie wtajemniczajmy ich w nasze sprawy rodzinne; nie powinni domyślać się niczego.

— Mogę ci zaręczyć za nią że się nie zdradzi, powiedziała Henryeta, wychodząc śpiesznie z Teresą.

Vauquelin zapanował już nad swem wzruszeniem, i wyszedł naprzeciwko swych gości.

. . . .

Ktokolwiek przepędził choćby kilka dni w Trouville, poznałby na pierwszy rzut oka wielu z tych panów: margrabiego Bayador, barona Kuntsberg, lorda Middleson, wicehrabiego de Lanzac, kilku Francuzów z mniej więcej arystokratycznemi nazwiskami, kilku ajentów bankowych lub przyszłych urzędników.

Towarzystwo było bardzo ożywione, a Teresa prawdziwie zachwycająca.

W czasie poobiedniej przechadzki, margrabia Bayador, dla którego przy obiedzie zdawała się łaskawszą niżeli dla innych, podał jej rękę.

— Panie margrabio, rzekła przyśpieszając kroku, chcę panu powiedzieć coś takiegs o czem nikt prócz pana nie powinien wiedzieć.

Margrabia wynurzył jej głęboką wdzięczność za ten dowód zaufania.

— Wszakże mnie pan zapewniał kiedyś, że w pięknej Hiszpanii, ojczyźnie pana, każdy kabalero uważa to sobie za chlubę, jeźli spełnia dokładnie, natychmiast, nie starając się nawet zrozumieć ich, wszelkie rozkazy, fantazye, kaprysy tej której rękę chce pozyskać?

— Zechciej mnie tylko wystawić na probę, urocza senoro! Gotów jestem, idąc za przykładem mego rodaka don Quichotte'a, walczyć ze wszystkiemi wiatrakami na wybrzeżu normandzkiem, dla przypodobania się pani.

— Trzeba będzie udać się dalej, panie margrabio.

— W którą stronę?

— Do Paryża.

— Pojadę natychmiast. Niech pani zechce wydać dalsze rozkazy.

— Zaniesie pan do którego z jubilerów brylanty które panu wręczę zaraz, złoży je pan u niego jako zastaw, na który wypłaci panu sto tysięcy franków.

— Sto tysięcy franków! zawołał zdziwiony hidalgo. Dlaczegóż pani nie żąda ich wprost ode mnie?..

— Dlatego, panie margrabio, że długi pieniężne zamierzam spłacać tylko pieniędzmi.

— Jednakże czemu...

— O! zaczyna się badanie... Udam się do Sancho-Pancha.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 18

(Ciąg dalszy).

Na modelu do sukienki z popielatego szewiotu, garnirunek karczka, wypustki i szarfa z przodu przemarszczona, 22 c. szeroka a 140 długa, dane były z szafirowego atłasu.



N. 1. Sukieneczka z aksamitu i atłasu.



N. 3—4. Ubranie dla młodej panienki.



N. 2. Sukieneczka fałdowana.

N. 3. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku. Krój podług ryc 30 w N-rze 46 z r. 1880.

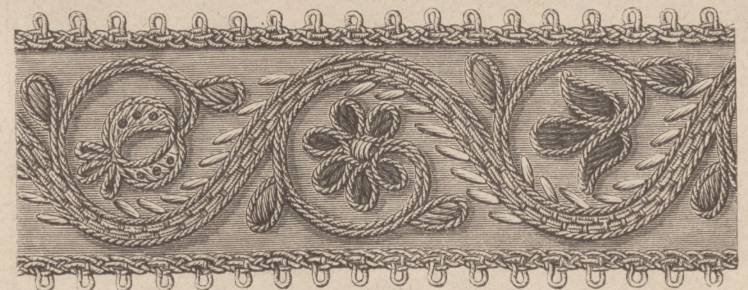
Forma takich płaszczyków jest ciągle jednakowa, tylko rodzaj materyału i przybrania zmienia się podług mody i może być więcej lub mniej kosztowny i strojny. Na modelu płaszczyk z pledowego materyału w kratę, podszyty był białym kaszmirem, a pelerynka oszyta plisowaniem 5 i 8 centymetrów szerokiem. Plisowanie może zastąpić woda z nagłówkiem albo riuszą.



N. 9. Suknia z tuniką szalową.

N. 5 — 6. Fartuszek bluzkowy z kołnierzem, dla małej dziewczynki. Krój N. XV Fig. 66--67.

Przód i plecy fartuszka układają się w drobne fałdy lub w 3 duże kontrafałdy, dopasowane podług wykroju kołnierza, z którym razem objęte są stębnowaną pliską. Na 10 cent. od dołu, między szwy boczne wszywa się pasek 4 i pół cent. szeroki, zapięty z tyłu na guzik. Ryc. 5 przedstawia biały batystowy fartuszek oszyty haftowanemi szlaczkami, a ryc. 6. fartuszek z szarej kanwy kongresowej, ozdobiony krzyżykowym haftem kolorowym. Dół fartuszka i kołnierz oszyty szlaczkiem 2 i pół cent szerokim, haftowanym ściegiem długim na płótnie niebieskiem.



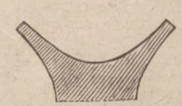
N. Szlaczek haftowany.



N, 6. Wiązanka z kwiatów. Patrz ryc. 7—8.



N. 7. Związanie chusteczki do ryc. 6. Patrz ry. 8.



N. 8. Podstawa tekturowa do ryc. 6.

N. 17—18. Dwa rękawy do sukien.

Obadwa świeże fasony rękawów odrobione być mogą z dwojakiego materyału; u dołu pod część widoczną daje się stosowną jedwabną podszewkę.

N. 17. Rękaw „chatelaine". Krój N. XIII Fig. 63 — 64.

Rękaw bufiasto podniesiony na ramionach, w górze od 1 do 3 marszczy się na 30 cent. długości, materyały mięsiste i dobrze odstające mogą się obejść bez waty, pod wszelkie lżejsze i miękkie poddaje się watowany wałeczek dobrze odstający na ramionach, ku brzegom płaściejszy i zwężony. Na modelu rękaw aksamitny, oszyty był 3 cent. szeroką złotą torsadą; spodni, bufowacy rękawek, zrobiony był z kremowej crêpe lisse.

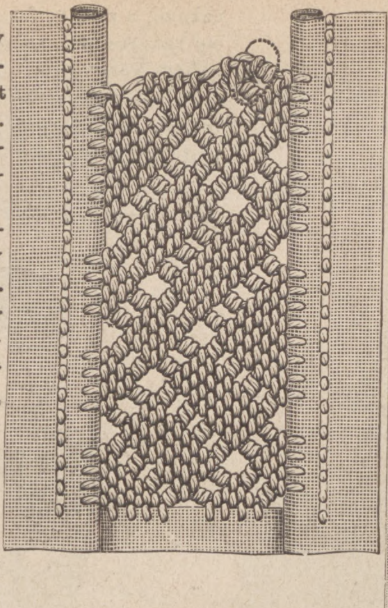
N. 18. Rękaw pazioski.

Różni się od zwykłej formy tylko mniejszem

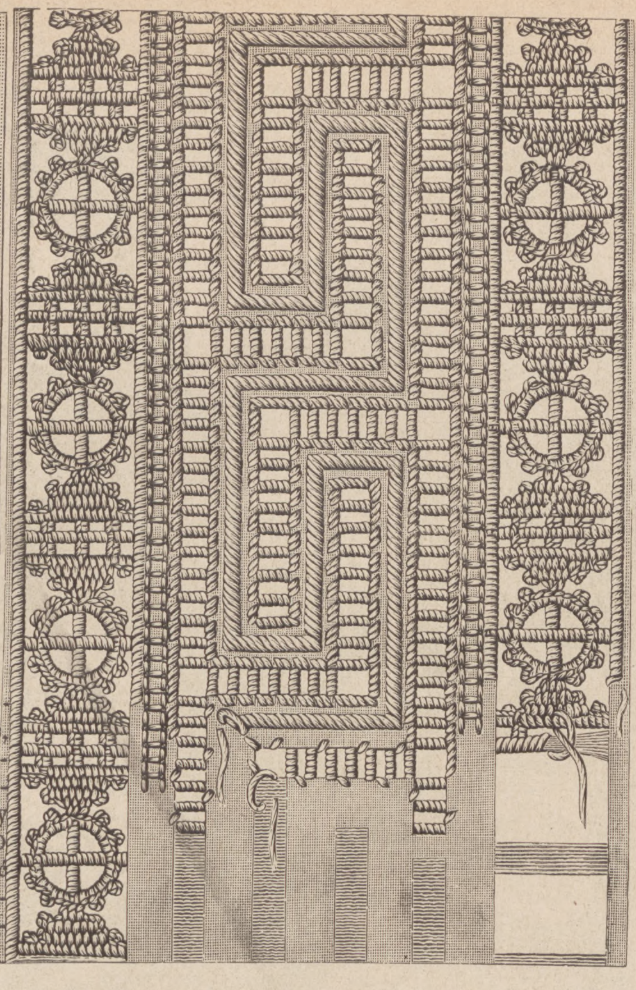


N. 10. Suknia z długim stanikiem. Patrz ryc. 2 w N- rze 17 i ryc. 32.

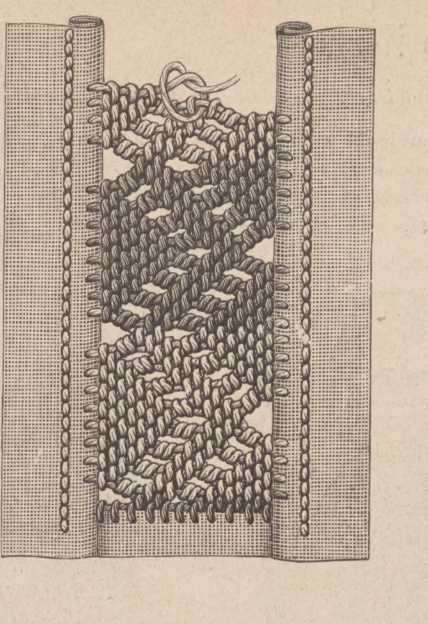
zaokrągleniem przy szwach zwierzchwich, wycięty jest w dwa zęby 11 cen. głębokie a 14 szerokie, spięte metalowemi agrafami, miał przy szwie wewnętrznym 19, przy zwierzchnim 39 c. długości. Z pod zapiętych zębów wychodzą bufki. Spodni rękaw obcisły, zdobi mankiet batystowy, muślinowy albo koronkowy.



N. 11. Wszywka do bielizny. Robota ręczna przewiązywana igłą.



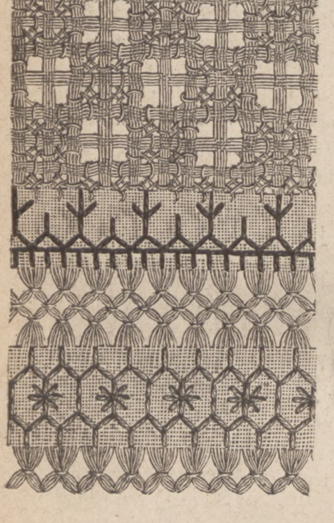
N. 13. Wszywka z kratki ażurowej i koronki „reticella."



N. 11. Wszywka do bielizny Patrz ry. 11

N. 19—20. Płaszczyk z beduinową peleryną. Krój N. XI Fig. 60-61b.

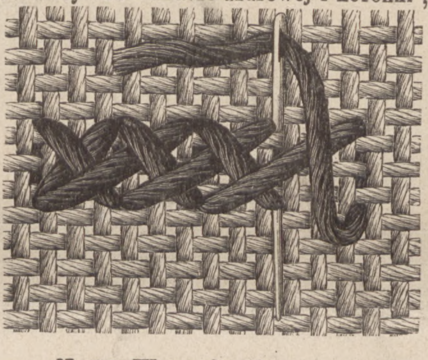
Formę peleryny podaną na Fig. 61a—61b, trzeba podług linijek od dwukropków do gwiazdek razem zestawić, a długość z przodu i szerokość dolną podług miary dopełnić. Środek w zęby wycięty razem zeszyć następnie zęby na wierzch wyłożyć, zaprasować i do rogów kwasty wełniane przyszyć. Płaszczyk podług modelu Fig. 60 przykroić, wystającą przy plecach i boczkach szerokość w płaskie fałdy złożyć i zaprasować, szwy zeszyć i listewkami skośnemi podszyć; przody zapinają się na duże rogowe guziki.



N. 14. Szlak z kratek ażurowych i wyszycia do bielizny na pościel.

N. 21—22. Paletot długi sukienny z pelerynką. Krój N. X Fig. 51-59a.

Odciętą część przodów i boczków, Fig 53 i plecy Fig. 54, trzeba podług miary u dołu przedłużyć i rozszerzyć, wystający w górze przy pleckach materyał w głębokie fałdy do spodu założyć. Przody od dołu aż do szwa przy stanie zachodzą głęboko jeden na drugi, lecz się nie zapinają, od odcięcia aż do pelerynki zapinają się na dwa rzędy guzików, a pod pelerynką nakryte haftki. Guziki płaskie z konchy perłowej.



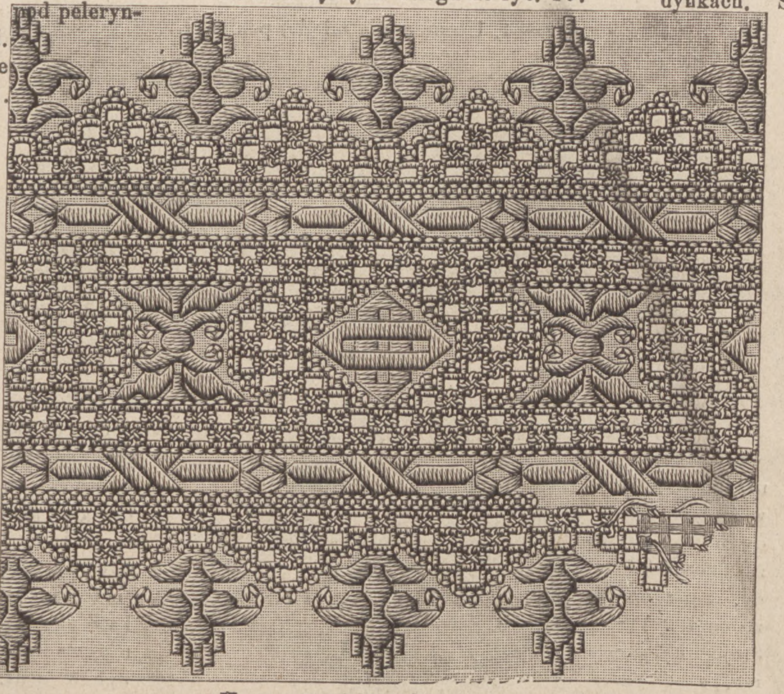
N. 20. Wyszycie ściegu do ryc. 19.

N. 24. Koronka „point duchesse" (imitacya). Tasiemeczka i najcieńsze nici koronkowe.

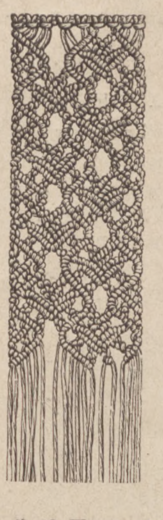
Figury deseniu układają się z cienkiej i wązkiej tasiemeczki, a spajają najcieńszemi nićmi koronkowemi. Tasiemeczka we dwoje złożona i razem zeszyta, w środku figur układana jest w łańcuszek w miejsce sznureczka. 14 do 20 nitek razem wziętych i rzadko przydzierganych, zdobi niektóre figury. Podłużne kółka wycięte z tasiemeczki medalionowej, ściegiem sznureczkowym obrobione zdobią niektóre listki i tło zarabiane sztabkami dzierganemi.



N. 7. Wszyweczka z kratką ażurową.



N. 15. Szlak do bielizny.



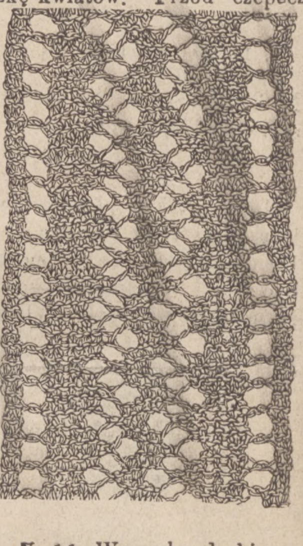
N. 18. Wszyweczka robotą wiązaną.

N. 25 i 42 Kapturek na głowę robiony na drutach.

Z włóczki białej angielskiej i jedwabnej kolorowej. Próbka naturalnej wielkości ryc. 42. Kapturuk upina się z szalika mającego 48 cent. szerokości a 130 długości. Jeden koniec szalika podszywa się materyą kolorową na 40 cent. długości, brzeg poprzeczny składa się we dwoje, zeszywa, marszczy do 10 cent., bierze do przodu na głowę i zdobi kokardą. Nad karkiem zaszywa się w końcu podszewki listewka, w którą nawlóczy się wązką do ściągania kapturka i związania z przodu. Drugi długi koniec bez podszewki, oszywa się w poprzecznym brzegu frendzlą i okręca koło szyi.

N. 27. Czepeczek z materyi surah i koronki złotej.

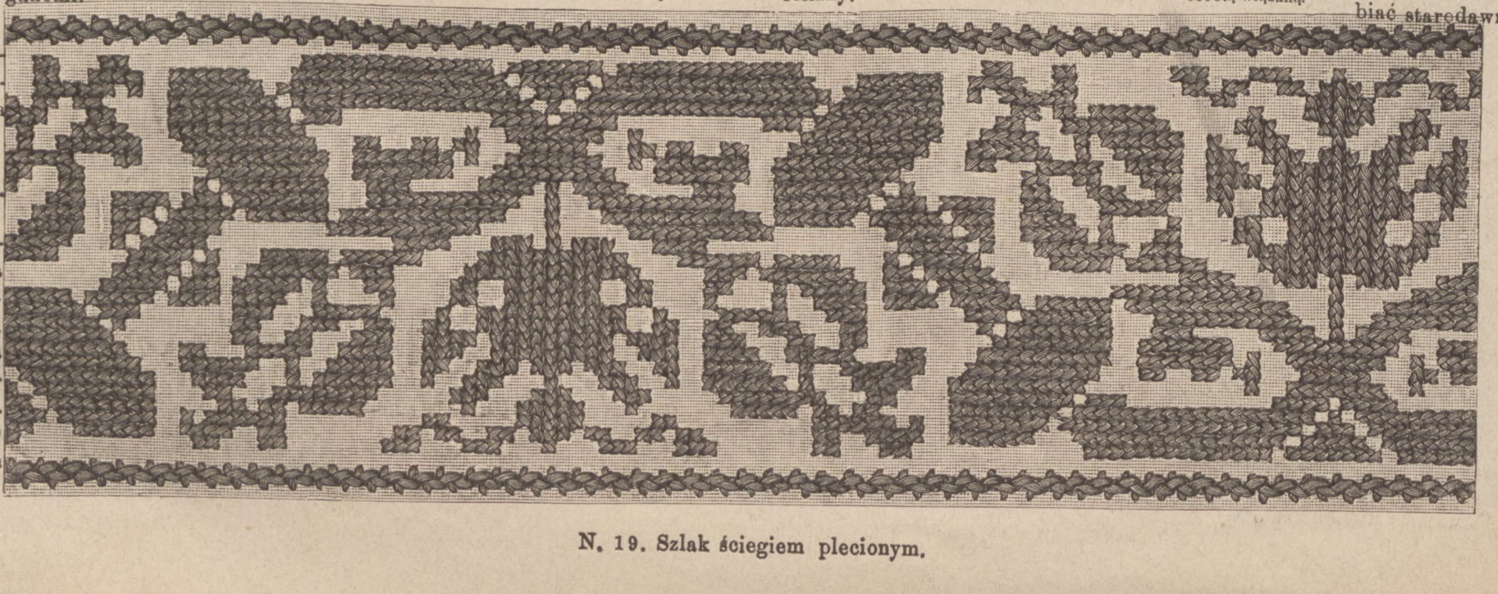
Na czółku ze sztywnego tiulu mającem 30 cent. długości, 4 środkowej a 2 brzeżnej szerokości, oszytem w koło wstążeczką z agremanem, upina się skośny kawałek kolorowej surah, mający 28 cent. szerokości a 116 długości. Materyę oszywa się w koło nadmarszczoną 4 cent. szeroką, złotą koronką, w górze układaną wachlarzowo, surah układa się na czółku w fałdy, końce z tyłu krzyżuje, a z boku przypina się gałązkę kwiatów. Przód czepeczku zobaczyć na ry. 30 w N. 19.



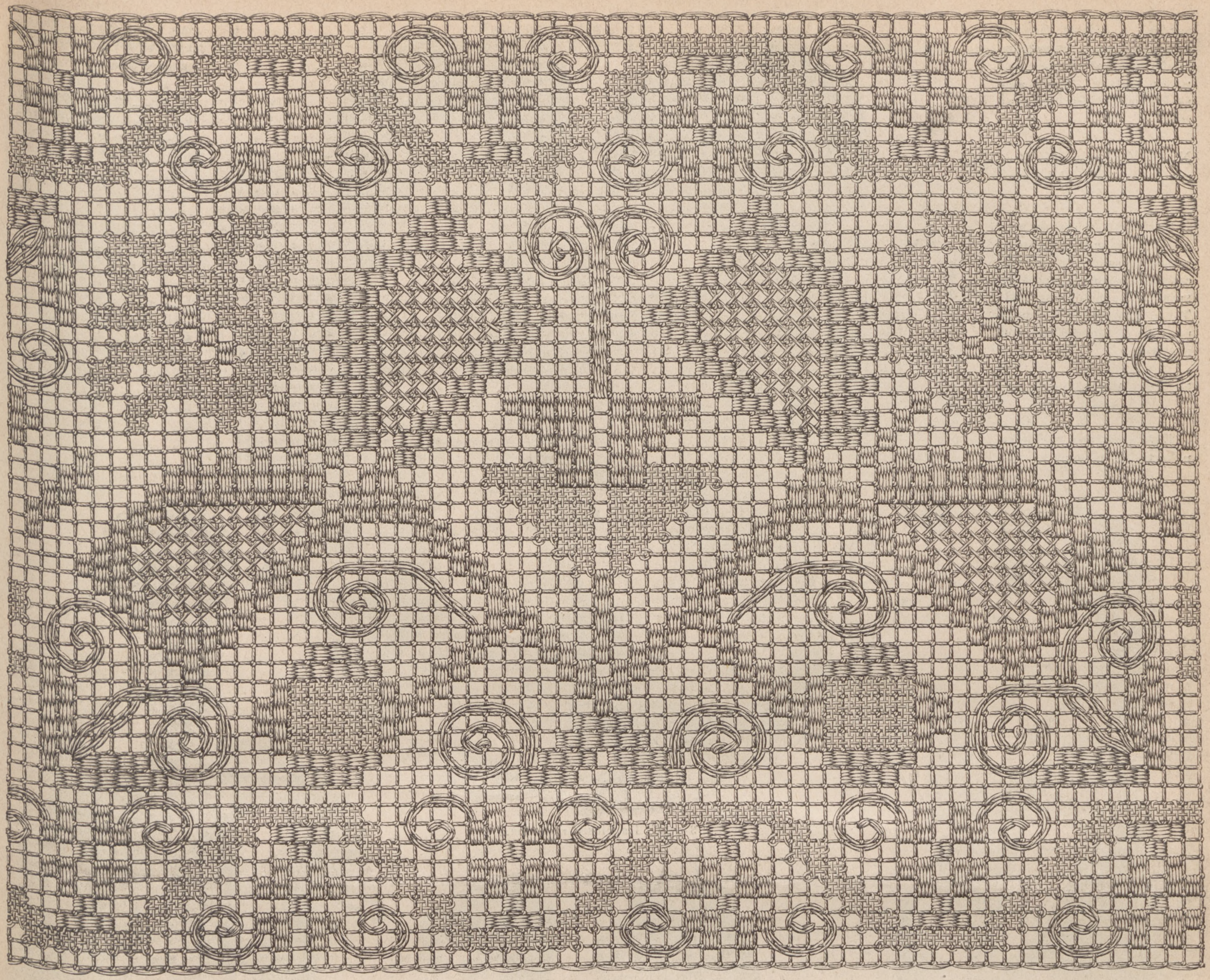
N. 11. Wszywka do bielizny. Patrz ryc. 11.

N. 27—30. Deseń w starożytnym guście na fotel. Robota zdzierana na skórze albo haft na materyi. Desenie na dodatku z krojami Fig. 76—80.

Desen w zmniejszeniu podany na ryc. 27 naśladuje dawne rzymskie i gotyckie ozdoby architektoniczne, jakie po dziś dzień zachowały się w odwiecznych kościołach i innych budynkach. Sposób roboty zdzieranej na skórze opisany był dokładnie w przeszłym roku, obecnie powtórzymy główne zasady. Dobrawszy bardzo dobrze wyprawny safian albo skórę kolorową, rysuje się na niej obrany deseń a następnie kontury nacina się wszędzie ostrym scyzorykiem w ten sposób, żeby przekroić tylko zwierzchnią powłokę skóry; potem stosownie do woli, z tła albo z figur deseniu zdzierać ostrożnie zwierzchnią powłokę, sposobem wskazanym na ryc. 28. Tak otrzymany rysunek w dwóch kolorach, jak na próbce deseń kolorowy, na tle matowem naturalnego koloru skóry. Podobny deseń z bajecznych zwierząt i ptaków złożony, można odrabiać staroławnym haftem rzymskim, którego wzór dajemy na ryc. 30 a próbkę na ryc. 29. Stosownie do deseniu ściegi muszą być prościej lub więcej kolisto układane a ściegi środkowe drobniejsze lub większe. Model robiony był na szarem płótnie żaglowem włóczką, zwierzątko cieniem płowo-czerwo-



N. 19. Szlak ściegiem plecionym.



N. 20. Szlak z siatki gipiurowej, do ryc. 38 w N-rze 16.



N. 22. Szlak wyszyty kolorowo na płótnie, do ryc. 34 i 35 w N-rze 16.

nawym, a gałązki cieniem zielonym, język jedwabiem krwistym a oczy czarne z obwódką żołtawą. Na nateryi lub suknie haftować filozelą.

N. 31. Kapelusz z wielkiem rondem, zwany „Our grannie".

Odrobiony z czarnej angielskiej słomki, podszyty czarną surah, a ubrany czarną hiszpańską korokną, surah, i makami ponsowemi. Takie kapelusze w Anglii używane są głównie do wód i podróży.

N. 33. Wachlarz spacerowy.

Duże spacerowe wachlarze pokryte są pluszem kolorowym, albo drobnemi piórkami w jednym lub kilku dobranych kolorach.



N. 23—26. Kapelusze wiosenne.



N. 27. Uczesanie z krótkiemi lóczkami.



N. 28. Uczesanie z długiemi lokami.

N. 35. Teka na rękawiczki. Aplikacya i haft szmaragdowym zwany. Krój N. XIV Fig. 65.

Fason wykrawa się z tektury, na złamaniach podkleja z lewej strony tasiemką; podszewkę cokolwiek mniejszą od tektury, ażeby przystawała gładko, daje się z kolorowego atłasu, cienko podwatowanego i pikowanego. Wierzch z aksamitu ozdobiony haftem lub aplikacyą, oszyty jest z brzegów sutą frendzlą krepowaną i koronką szafranowego koloru.

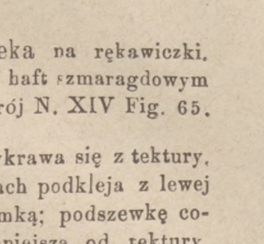
N. 36—37 i 41. Płaszczyki z szerokiemi rękawami. Krój N. II Fig. 10—12a.

Podług formy danej do ryc. 37 i 41, kraje się także płaszczyk ryc. 36, a małe zmiany kroju wskazane są linijkami kropkowanemi na małym formacie kroju fig. 10a — 12a. Plecy krajane rezem z wierzchem i spodem rękawów, podajemy dla braku miejsca w dwóch częściach formy, które podług linijek i odpowiednich znaków, trzeba zestawić i w całości wykroić. Cienkie gładkie linijki na Fig. 11a i 12a oznaczają szerokość aksamitnego obłożenia, które powinno jeszcze od spodu na 3 c. podchodzić pod materyał płaszczyka i być w odpowiedniej szerokości dane u dołu i przy brzegach przodów. Przy rękawach obłożenie ma 8 cent. szerokości. Model do ryc. 37 i 41, odrobiony był z sukienka piaskowego koloru ozdobiony haftem tamburkowym, włóczką *crevel* w ciemniejszym odcieniu, obłożony aksamitem ciemnobronzowym, a podszyty fularem niebieskim.

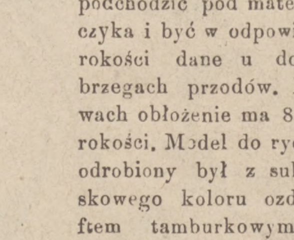
(d. n.)



N. 29. Suknia z paletocikowym stanikiem. N. 30. Vêtement ze stojącym kołnierzem i bufowanemi rękawkami. Patrz ryc. 31.



N. 32. Wskazanie kroju do ryc. 10.



N. 31. Wskazanie kroju rękawa do ryc. 30.